Nr. 8. Kraków, dnia 20 lutego 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

W konkursie naszym

rozpisanym na artykuły z zakresu

„Niebezpieczeństwo niemieckie w Galicyi i środki zaradcze“

raczyli wstąpić łaskawie do *jury:*

Przewielebny **X. Biskup Bandurski,**
JWPan **Franciszek Rawita-Gawroński,**
JWPan **Kazimierz Bartoszewicz.**

Wydawnictwo „Tygodnika Narodowego“.

Pod uwagę naszych towarzystw.

Wchodzimy w okres dorocznych walnych zebrań wszelkich towarzystw kulturalnych i gospodarczych. Zaufaniem członków powołane do kierowania sprawami towarzystwa zarządy przedkładają ogólnym zebraniom sprawozdanie z dorobku swej pracy. Na czele ich wybijają się organizacye kulturalne i gospodarcze. One w całokształcie życia naszego są najważniejsze.

Społeczeństwo, któremu rząd zaborczy nie pozwala wszelakich sił swoich użyć na wszelkich polach i nie dozwala zaspokoić wszystkich potrzeb narodowych, to społeczeństwo drogą samopomocy i inicyatywy społecznej zyskuje pola do zużytkowania własnej energii i własnych sił potencyonalnych, do zapobieżenia najważniejszym potrzebom swoim. Nasza działalność kulturalna w jakiej formie ona idzie i w jakiej organizacyi się kupi, prowadzi wszędy do podniesienia świadomości narodowej i do pogłębienia ducha obywatelskiego tam, gdzie go dotąd brakowało. Nasza działalność gospodarcza prowadzi do wzmagania się ogólnego dobrobytu i do wyrabiania tych cnót społecznych, w których dotąd nie celowaliśmy: cnoty oszczędności, zapobiegliwości, popierania dóbr własnych i własnych pracowników. Każde Kółko rolnicze, każda kasa Raiffeisenowska, każda instytucya finansowa, o ile oczywiście nie jest założona przez spekulantów lichwiarskich, jakich nam nie brak zwłaszcza w sferach żydowskich — każda ta instytucya samopomocy gospodarskiej obok względów gospodarczych ma duże znaczenie pedagogiczne: ona bowiem zdobi charakter narodowy i niszczy te narowy, jakie przyczyniły się do naszego upadku.

Z naszych instytucyi kulturalnych najpoważniejsze jest i najzasłużeńsze, i najwięcej pól pracy obejmuje *Towarzystwo Szkoły ludowej.* W zasadzie założone w celu budowania szkół ludowych z czasem Towarzystwo Szkoły ludowej podjęło także inne zadania: więc oprócz utrzymywania szkół na kresach wschodnich i zachodnich fundowanie budynków szkolnych i oddawanie w zarząd władz krajowych szkół w okolicach zagrożonych wynarodowieniem; więc stwarzanie osobnych kursów dla analfabetów zarówno dorosłych jak dziatwy; więc opieka nad dziatwą szkolną w ochronkach i w kursach.

Obok tych prac wchodzących w zakres szkolnictwa praca pozaszkolna. Obszerna akcya oświatowa przez wypożyczalnie i czytelnie, przez odczyty i obrazy świetlane, przez teatry amatorskie i obchody narodowe — wreszcie fundowanie ognisk polskości przez domy ludowe i muzea prowincyonalne (istnieją w Tarnopolu dla Podola, powstanie w Kołomyi dla Pokucia.)

Jest to praca, wchodząca w zakres tych funkcyi, jakie w normalnych warunkach należą do

państwa. Pozbawieni samoistności wedle możności sami te funkcye spełniamy.

Ale wobec ogromu zadań i ogromu obowiązków, ciążących na społeczeństwie, a sprawianych przez Towarzystwo Szkoły ludowej, jakżeż mało ono znajduje poparcia u ogółu? Wprawdzie liczy 25 tysięcy członków, ale jakżeż drobna jest ta liczba wobec tego, ile powinno doń należeć? I druga rzecz: jak mało z owych 25.000 członków zajętych jest w pracach TSL? Bodajże nawet 10 proc. członków tj. 2500 osób nie jest wprzągniętych w działalność tej najsilniejszej i najpoważniejszej organizacyi kulturalnej.

Gdybyśmy wzięli sprawozdania wszelkich instytucyi społecznych w jakiemś mieście lub miasteczku galicyjskiem, przekonalibyśmy się o fakcie nader smutnym: prawie wszędzie, czy to będzie Koło Tow. Szkoły ludowej, czy Sokół, czy Powszechne Wykłady Uniwersyteckie, czy to będzie Czytelnia naukowa, kursa lub kasyno czy resursa — przekonamy się, że we wszystkich organizacyach pracują ci sami niemal pracownicy. Działalność nasza opiera się na jednostkach, a nie na ogóle. Skutek jego jest widoczny: zapracowane jednostki nie mogą podołać wszelkiej akcyi; wskutek czego nieustannie słychać utyskiwania na brak ludzi i na zaniedbywanie pewnych posterunków.

Powodów tego stanu możnaby szukać wielu. Ale bodaj obok innych czy nie jest najważniejszym — wzajemne animozye, zawiść i niesnaski osobiste? Przecie to wobec sprawy publicznej, powszechnego dobra i interesu narodowego powinno zejść na plan drugi.

Te sprawy poddajemy dziś naszym organizacyom społecznym w okresie zdawania sprawy z dorobków pracy. Chcemy zwrócić uwagę na brak ludzi — i na potrzebę zaradzenia temu stanowi przez wciąganie jak najwięcej jednostek w pracę publiczną, nawet kosztem osobistych sympatyi. Jeżeli każda jednostka uświadomiona znajdzie się w szeregach pracujących, nie będzie u nas posterunków nieobsadzonych.

Chcielibyśmy zwrócić tu uwagę sfer właściwych na stosunkowo nader szczupły procent pracowników, rekrutujących się ze sfer *mieszczańskich*. Jak dawniej lud włościański, tak dzisiaj bodaj czy mieszczaństwo nie jest kopciuszkiem, pozostawionym na boku, który wchodzi w grę w okresie... wyborów. Są to objawy niemoralne i niemożliwe do zniesienia.

„Gwiazdy“ i „Przyjaźnie“ i „Rodziny“ stoją obecnie na uboczu, sobie pozostawione. Jedynie w święto uroczyste, narodowe lub kościelne, zawiązują się stosunki między niemi a resztą towarzystw. Stosunki te nie mogą być nadal jeno odświętnymi, bo to prowadzi do zasklepiania się stanowego i skostnienia ideowego; w ślad za skostnieniem idzie martwota i upadek. Ale właśnie stosunki muszą stać się stosunkami współżycia i współpracy codziennej i nieustannej. Potomkowie Kilińskich mają w sobie wiele siły żywotnej i energii, które odpowiednio zużytkować jest obowiązkiem tych, co są wobec przyszłości odpowiedzialni za bieg naszego życia i rozwoju społecznego i narodowego.

***

Co tydzień niesie.

Kraków, 13 lutego.

Obrady *Sejmu* trwają ciągle. Prawdopodobnie Sejm obradować będzie jeszcze tydzień do 19 bm. I ten tydzień będzie bodaj najobfitszy w pracę i zabiegi poselskie. Obecny poza uchwaleniem Banku przemysłowego w tej formie, że na Bank składają się kapitały dolno-austryackiego towarzystwa eskomtowego, kraju i przemysłowców krajowych reprezentowanych przez ks. Andrzeja Lubomirskiego, o czem obszernie pisaliśmy w numerze poprzednim naszego Tygodnika — nie przyniósł nic nowego. Zobrazowanie całej sesyi sejmowej odkładamy do następnego zeszytu, co uwalnia nas od roztrząsania tych spraw obecnie.

Zakończył swoje obrady *Sejm śląski*: sesja jednak jego nie załatwiła najważniejszych spraw. I tak reforma wyborcza sejmowa w duchu powszechnego głosowania nie została załatwiona, a z zachowania się wpływowych Niemców można wynieść wrażenie, że pragną oni odwleczenia reformy przez lat sześć, o ileby ludność sama i posłowie temu się nie sprzeciwili. Poprawa stosunków finansowych także nie doszła do skutku i budżet zamknięto deficytem 1 300.000 kor., a dodatki krajowe nie zostały podwyższone. Sprawy kolejnictwa śląskiego traktowano obszernie: rząd oświadczył gotowość wybudowania kilku nowych dróg kolejowych, zwłaszcza w zagłębiu ostrawsko-kawińskiem. Stowarzyszeniom gospodarczym polskim, więc Towarzystwu Rolniczemu i Związkowi spółek Raiffeisenowskich rząd subwencyi udzielił, ale już zapobiegliwość rządu okazała się w sprawie polskiej szkoły zimowej rolniczej w Sibicy pod Cieszynem, która zupełnie nie przyszła pod obrady, podczas gdy podobna szkoła czeska w Klinkowicach uzyskała 80.000 kor. subwencyi.

Co do szkolnictwa ludowego widać pewną zmianę na lepsze. Sejm śląski wprawdzie nie

uchwalił ustawy dotyczącej szkół mniejszości narodowych, ale dał subwencye na wszystkie szkoły prywatne bez względu na wyznanie. Wprawdzie szkoły czeskie i niemieckie zostały uposażone lepiej, ale bądź co bądź uwzględnienie szkół polskich jest dużym postępem naprzód. Byleby jeno śląscy kierownicy sprawami publicznemi nie ustąpili wobec byle jakich korzyści, ale starali się postawić sprawę zasadniczo i zwyciężyć.

To, że szkoły prywatne polskie otrzymały subwencye, spowodowało komitety rodziców w Polskiej Ostrawie i Dziećmorowicach do zaniechania strejku szkolnego dzieci polskich; subwencye te były usprawiedliwieniem dobrej woli władz szkolnych, ale nie załatwiają sprawy zasadniczo. Dzieci polskie muszą uzyskać polskie szkoły!

Fryderyk Chopin.

(W setną rocznicę urodzin).

Poznać narodowe zabytki przeszłości, poznać i czcić ludzi wielkich, którzy kroczyli na czele narodu, oto święty obowiązek każdego społeczeństwa. My Polacy tym bardziej winniśmy pamiętać o naszych sławnych, naszych bohaterach, bo wszakże tem składamy dowód, że żyjemy i kochamy przeszłość naszą, że ona w nas jest, że nam jej z duszy nie wydarto. Tego nie powinniśmy zaniedbywać, pragnąc uchodzić za naród kulturalny.

A czemże jest kultura narodu?

Jest potrzebą pokarmu duchowego i duchowej mocy, potrzebą oświaty duchowej. Kultura jest dla narodu tem, czem dla drzewa zielona korona. Barwna i świeża korona świadczy o tem, czy drzewo jest rzeczywiście zdrowe, czy posiada siłę żywotną, czy ma przyszłość przed sobą. Podobnie rzecz się ma ze społeczeństwem. Jak u drzewa zielona korona, tak u społeczeństwa jego kultura duchowa świadczy dopiero ostatecznie o tem, czy społeczeństwo żyje pełnem życiem, czy jest narodem w całem tego słowa znaczeniu i czy jako naród ma przyszłość przed sobą.

A dla czego my Chopina, tego mistrza tonów tak czcić i kochać mamy i oddawać mu hołd w *setną rocznicę* jego urodzin? Bo on, najtkliwszy piewca uczuć, idealny powiernik tych co cierpią i kochają, on opowiedział i uświadomił w dźwięku to, co mamy w sercach naszych, w naszych polskich duszach, opowiedział światu całemu, w zrozumiałym dla wszystkich języku. A tym językiem jest muzyka.

* * *

Fryderyk Chopin przyszedł na świat 22 lutego 1810 roku w Żelazowej Woli, gdzie ojciec jego był nauczycielem syna dziedziczki tegoż majątku.

Fryderyk był dzieckiem bardzo wątłem i wrażliwem, wrażliwość jego do tego stopnia była posunięta, że nie mógł słuchać muzyki bez płaczu. Wkrótce jednak uległ jego czarowi. Fortepian nęcił go najbardziej; to też rodzice widząc w nim silnie rozbudzone zamiłowanie do muzyki postanowili kształcić go w tej sztuce. Jako dziecko 9-cio letnie grał już Fryderyk dość biegle, a wtedy powierzono go Wojciechowi Żywnie, który z wielką sumiennością kształcił swego genialnego ucznia.

Komponować zaczął Chopin wcześnie, pierwej nawet aniżeli mógł to napisać, co stworzył. Jako 20 letni młodzieniec miał już kilka wielkich utworów gotowych w swej tece, z nimi też dzięki wpływom licznych znajomych i przyjaciół wystąpił publicznie z koncertem we Wiedniu w 1828 r. Jak mało zrozumianą i odczutą była wówczas miękka i marzycielska gra Chopina, świadczy najlepiej urywek z listu jego: „Ogólne jest zdanie, że gra moja jest za cicha, a względnie za delikatna dla uszu tutejszej publiczności.“

Po powrocie z Wiednia, wystąpił mistrz w dwuch koncertach w Warszawie.

Dnia 1-go listopada 1830 zaledwie na kilka tygodni przed powstaniem wyjechał artysta w nową podróż celem dalszego kształcenia się, a z podróży onej niestety nie miał już wrócić do kraju. Miał zamiar jechać na Wiedeń do Włoch. Jednakże, po kilku koncertach urządzonych we Wiedniu, a nie cieszących się powodzeniem myśl tę porzucił i wyruszył do Paryża. Tam rodacy przyjęli go bardzo serdecznie; zaledwo przyjechał, a już stał się najulubieńszym towarzyszem całej kolonii polskiej. Naturalnie początki jego karyery artystycznej w Paryżu nie były wcale świetne, tem bardziej, że mistrz nasz nie umiał się liczyć z pieniędzmi. Jego położenie materyalne poprawiło się dopiero wtedy, gdy uzyskał wiele lekcyi w domach najwyższych sfer arystokratycznych.

Pierwsze lata w Paryżu ogromnie tęsknił za krajem i rodziną, z którą utrzymywał ożywioną korespondencyę, a marzeniem jego było, by mógł

ujrzeć swoich jak najrychlej. Pragnienie jego spełniło się dopiero w 1835. W Karlsbadzie nastąpiło spotkanie się jego z rodzicami, a było ono ostatniem w życiu mistrza.

Że Chopin gorącym był patryotą, mówi o tem nietylko życie jego, ale i czyny. Ujawniało się to przedewszystkiem w radości i serdeczności, z jaką witał tych, którzy z kraju przybywali. Poświęcał się dla zupełnie nawet nieznajomych, bo wystarczało mu to, że pochodzą z Polski, że przywożą z sobą cząstkę duszy jego ojczyzny. To też pomagał im jak mógł, oprowadzał po mieście, zapoznawał z kolonią polską, starał się dla nich o posady i pożyczał pieniędzy.

Po roku 1835, w którym to czasie doznał bolesnego zawodu sercowego, nie kochany przez dawną znajomą z kraju Maryę Wodzinskę, pod wpływem miłości i cierpienia stworzył i wydał szereg utworów muzycznych.

W tym też czasie zaczęła się jego choroba płucna. Pomimo to nie ustawał w pracy i właśnie w czasie tym urodziły się jego utwory najpotężniejsze, jak polonezy i sonata z powszechnie znanym „marszem żałobnym.“ Polepszenia w jego niedomaganiu nie było, przeciwnie choroba postępowała szybko naprzód, co zniewoliło Chopina do szukania cieplejszego klimatu. Po przepędzeniu zimy na Południu zdrowie jego poprawiło się o tyle, że przez kilka lat miał się dobrze. Po powrocie do Paryża schodziło mu życie na udzielaniu lekcyi, obracaniu się w świecie artystycznym. Z koncertami występował teraz bardzo mało, a poraz ostatni grał publicznie w Paryżu w roku 1848.

Na wiosnę tego samego roku czując się dość dobrze, wyjechał do Londynu.

Może łudził się tem, że tam znajdzie ukojenie po udręczeniach w jakich żył z powodu nieszczęsnego stosunku z literatką panią George Sand. Londyn przyjął go z ogromnym entuzyazmem, to zdawało się zelektryzować mistrza, bo nabrał nowych sił i nowej ochoty do życia. Niestety klimat tamtejszy wpływał na niego zgubnie, a lekarze zalecili natychmiastowy wyjazd.

Od połowy 1849 roku nie miał już sił do pracy, wreszcie pogorszyło mu się tak, że już łóżka opuszczać nie był w stanie. Z tygodnia na tydzień z dnia na dzień zbliżał się koniec, ataki duszności poczynały być coraz częstsze i coraz więcej wyczerpujące. A Chopin cierpiał nie skarżąc się nigdy i nikomu. Pierwsze dni października rozwiały wszelkie nadzieje, ostatni moment nadchodził, lada dzień, lada godzina mogła go sprowadzić. Siostra mistrza i hrabina Potocka nie odstępowały go ani na chwilę, starając się osłodzić mu ostatnie godziny. W Poniedziałek 16 października przyjął Chopin Ostatnie Sakramenta. Po przyjęciu Olejów św. pożegnał się Chopin ze wszystkimi błogosławiąc każdego z osobna. Wreszcie 17 października wyzionął ducha. W ostatniej jeszcze chwili ucałował rękę przyjaciela swego Gutmanna, wyrażając mu temsamem przyjaźń i wdzięczność nieskończoną. Ciało Chopina złożono na cmentarzu paryskim, serce zaś na prośbę ostatnią mistrza przewieziono do Warszawy.

Główną cechę muzyki Chopina stanowi wybitna odrębność narodowa, wielka melodyjność, słodycz miękkość tonów i szlachetność uczuć, a przedewszystkiem żal, który przebija się we wszystkich jego dziełach.

Muzyka naszego mistrza nie dlatego nam jedynie miłą, że przebija w niej nuta serca prawdziwie polskiego, ale odczuć ją muszą wszyscy i pokochać, którzy uwielbiają piękno, ludzie szlachetni, a smutni, cierpiący z drugimi.

Tak, jak Mickiewicz i Słowacki, — królami Ducha-Słowa, tak Chopina uważać musimy za Króla Pieśni. A Królestwo jego niezmierzone: Świat cały, gdzie tylko ludzka rozbrzmiewa mowa, gra pieśni polskie Chopina. Pieśń jego czaruje wszystkich, a równocześnie mówi wszystkim, jak wielkiego mistrza tonów wydała Polska.

W. K.

Pamięci Chopina.

„Szumiały mu nasze wierzby
i nasze topole
i ten ciężki kłos pszenicy,
co ozłaca rolę.

Szumiały mu cichą pieśnią
zielone dąbrowy
i te trzciny nad jeziorem
i ten bór sosnowy.

A on chodził wskroś tych szumów,
zasłuchany w dale,
i w przestworze bezgranicznem
topił swoje żale.



Spotkanie przy studni.

I w topole się przemieniał
w kłos pszenicy złoty,
a łanami szła pieśń cicha
łkającej tęsknoty.

Sosnowego boru szepty
płynęły mu z duszy,
tajemniczych pełne zwierzeń
w przedwieczornej głuszy.

Pajęczyny wiotkie przędze
otulają rżyska,
a w moczarach zmarła woda
opalami błyska.

Smętek idzie po przydrożach,
liście z drzewa strąca,
a źrenicę mu wypala
zorza konająca.

A tam dziki wiatr się zrywa,
z stodół zdziera strzechy
boleść tylko i żałoba
a nigdzie pociechy!

A tam pożar wszczął się krwawy,
łuną zlane nieba —
Hej! umrzemy z nędzy, z głodu,
zabrakło nam chleba!

A tam czarny wóz się toczy,
wrony nad nim kraczą,
księża nucą mizerere —
Hejże w tan z rozpaczą!

Rżnij, muzyko, a ty żydzie,
dolejże nam wódki!
Utopimy łzy i rozpacz,
tesknoty i smutki!

Co nam świat ten! Co nam życie!
Snać sam Bóg nas rzucił!
Kiedyż-że to ranek szczęście
nieszczęśliwym wrócił?!

Rżnij, muzyko, a my — dalej!
Walczmy choćby z Bogiem,
który oko swe przymrużył
nad naszym rozłogiem!

Rżnij, muzyko! A ty, pieśni,
leć w przestwór daleki!
Świat przed tobą się ukorzy
i uklękną wieki!

Łkaj! rozpaczaj! grzmij i czoło
stawiaj zawierusze;
Ziemię polską mieścisz w sobie —
ach i polską duszę!...

Jan Kasprowicz.

Istota muzyki narodowej w twórczości Chopina

(z powodu setnej rocznicy urodzin).

W czem leży tajemnica, że nasza muzyka ludowa była taką skarbnicą natchnienia dla Chopina — dlaczego tak potężny wpływ na znaczenie jego twórczości wywrzeć mogła?

Aby odpowiedzieć na te pytania, należy się cofnąć aż do praźródeł, z których powstała muzyka ludowa — a raczej muzyka wogóle.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że początkiem muzyki był bezwiedny, instynktowny wyraz uczuć: radości, uniesienia, smutku czy żałoby, objawiony w rytmice — z której następnie powstał taniec — oraz w jakiemś nieokreślonem pewno z początku zawodzeniu, z którego wyłoniło się z czasem śpiewane słowo, pieśń.

W ten sposób tworzy się do dziś dnia muzyka u szczepów, na najniższym stopniu kultury stojących — w ten sposób powstała w odległej przeszłości wszelka muzyka ludowa.

Z tonów ubogiej, pięciotonowej jamy indochińskiej rodziły się w duszy jakiegoś bezimiennego twórcy, prymitywne melodye, które wyrażały bezpośrednio to, co czuł w chwili radości lub smutku; melodye te tradycya przechowała, jako niewzruszony kanon — śpiewały je całe pokolenia i utrzymywały bez zmiany, o ile lud nie miał styczności zbyt wielkiej z muzyką kulturną. Bo jest faktem, nader łatwo dowieść się dającym, że u ludów najmniej narażonych na zetknięcie się bezpośrednie z kulturą, n. p. u wszystkich mieszkańców gór — melodye ludowe są najoryginalniejsze (n. p. w Szkocyi, Norwegii i u naszych górali); ta oryginalność zaś po większej części



Rozkoszne chwile.

nie jest niczem innem, jak starodawnością harmonii z przed ery naszego dur i mol systemu.

Z takich pramelodyi powstały też z biegiem lat nowe, przez bardów późniejszych pokoleń tworzone melodye — często pozbawione już owego archaizmu harmonii — przypominające tylko tożsamość pochodzenia w mniej zmienianym zasadniczym rytmie.

Na jakich prawach kształtowała się muzyka ludowa, pod wpływem klimatu i otaczającej natury — kolei i losów, bytu duchowego i materyalnego ludu, należy do tajemnic twórczości; to jednak pewne, że inne melodye ryły w duszach pierwszych improwizatorów dalekie przestrzenie stepów — o zapadającym het w mgłach widnokręgu; inne rodziły się wśród urodzajnych pszenicznych łanów i zielonej leśnej dąbrowy — inne na szczytach gór granitowych — jeszcze inne powstały przy odwiecznym szumie oceanu—morza.

W ten sposób też utrwaliła się charakterystyka muzyki różnych ludów — i stąd muzyka ludowa — mogła stać się podwaliną sztuki narodowej, kiedy natchnienie w niej tkwiące, spotkało się z danego narodu kulturą; nie w tem jednak celu, aby się do tej kultury zastosować miała i na jej modłę przekształcać, ale by muzyka kulturalna wzięła w siebie część chociaż tego natchnienia — i szczerości twórczej.

Tak też rolę muzyki ludowej rozumiał Romantyzm — tak ją przedewszystkiem pojął Chopina.

Chopin nie spisywał skrzętnie zawodzonych w polu piosenek lub w karczmie grzmiących obertasów i mazurów — aby „interesujące ludowe tematy“ pomieścić w swoich kompozycyach — on się wsłuchiwał w nie tylko całą duszą — wchłaniając w siebie ich rytmikę, melodyę i archaiczny koloryt ich harmonii. Tak jak się wsłuchiwał od dziecka w szmery mazowieckiej sośniny — w szumy falującego zboża — jak się wpatrywał w rozległe równiny — linię ciemną lasów zamknięte na horyzoncie — w szaro-zielone ugory — szare przydrożne wierzby — złote ścierniska przetykane jesienią, srebrną nicią babiego lata...

I tak, jak tym pierwszym bezimiennym improwizatorom ludowym, rodziły się w jego duszy melodye, niby takie same, jak te prawdziwe ludowe — a jednak odmienne — równe charakterem i szczerością oraz źródłem natchnienia — a odmienne kulturą i nowe formą, w której się przejawiła poezya duszy twórcy.

Naturalny stosunek środków do ducha — do uczucia, z jakiego płynie natchnienie — tę równowagę formy z treścią potrafili w przedziwny sposób utrzymać zawsze geniusze muzyczni; objawiali oni nietylko nadzwyczajną siłę uczucia i natchnienia, ale w zakresie materyalnym stwarzali nieraz nowe środki — nowe świty; im potężniejsze i kunsztowniejsze materyalnie były twory ich wyobraźni — tem bogatszą musiała być ich treść duchowa.

Geniuszem był Chopin, który tę właśnie równowagę w dziełach swoich w najwyższym stopniu objawił — wprowadzając przytem w czyn od jednego zamachu to, na co jego poprzedników mimo najlepszej woli i zrozumienia stać nie było; samoistną kulturę muzyki polskiej.

Kultura sztuki Chopina nie przyjęła się jednak u nas od razu — i nie przyjęła się długie jeszcze lata po jego śmierci. Wprawdzie równocześnie z nim — a nawet (Elsner, Kurpiński) i przed nim, zaczęto w imię haseł epoki kompanować „na ludowych motywach“; kolega Chopina ze szkoły głównej muzyki I. Dobrzyński w ostatniej części swej symfonii (wzmiankowanej pochlebnie na którymś z współczesnych zagranicznych konkursów) użył motywu krakowiaka: „Albośmy to jacy tacy“ — rozmaici Orłowscy, Nowakowscy etc. pisywali mazury i obertasy — była to jednak muzyka, która zatraciła szczerość i oryginalność natchnienia sztuki ludowej — a w obrobieniu o bardzo prymitywnej muzycznej kulturze nic nie zyskiwała; — co gorzej, dzięki tego rodzaju pionierem sztuki „narodowej“ wyrobiło się u nas o niej zupełnie fałszywe pojęcie. Przestano się bowiem w końcu zajmować prawdziwą muzyką ludową — a za to jej słabe — odrobiną kultury zaprawione, a raczej zniepra wione imitacye — wzięto za typ muzyki polskiej; nie oszczędzano nawet samego Chopina, biorąc z jego utworów (początkowych zwłaszcza) to, co najbardziej owym pojęciom odpowiadało.

Pod wezwaniem toniki i dominanty — oraz rytmu krakowiaka i mazura, rozpowszechniało się pojęcie polskiej muzyki. Nawet wielki Moniuszko nie ustrzegł się potrosze tego błędu — tylko genialnością swego natchnienia wynagradzając braki kultury muzycznej. W ostatnich lat dziesiątkach posiew muzy Chopina zaczął u nas wydawać owoce; przymusowy Krakowiak zaczyna ustępować innemu — prawdziwemu pojęciu sztuki narodowej; dopiero teraz zaczynają się sprawdzać słowa Norwida z Epilogu jego Promethidiona:

„W Polsce — od grobu Fryderyka Chopina rozwija się sztuka, jako powoju wieniec, przez



NA ZWIADACH.

pojęcie nieco sumienniejsze o formie życia, to jest o kierunku piękna i o treści życia, to jest o kierunku dobra i prawdy.

Wtedy artyzm się złoży w całość narodowej sztuki".

Chopin nie uznawał zapożyczania melodyi ludowych — bo uważał, że z chwilą, kiedy duchem tych melodyi się przejął — kiedy wśród tej samej żył przyrody, co ów piosnki swoje i tańce śpiewający lud polski — to on swoją twórczą indywidualnością to samo tylko jeszcze lepiej — doskonalej i subtelniej wyrazić potrafi. W tem też wykazał się jego twórczy subjektywizm — jedna z cech i haseł Romantyzmu — oraz twórczości współczesnej: Chopin nie komponował muzyki polskiej — tylko to, co snuł z siebie, było muzyką polską — sztuką narodową.

Wspomniał już o tem nawet jeden z obecnych „pięknych duchów" współczesnej mu epoki — Robert Schumann, który o początkowych utworach Chopina twierdzi, że mają „zu spezielle sarmatische Physiognomie" i pragnie, aby twórca „Mazurków" stał się więcej „weltbürgerlich" — nie zatracając jednak nigdy w zupełności swego pochodzenia. Żądanie Schumanna wyrażone było oczywiście pod wrażeniem pierwszych większych dzieł Chopina — gdyby miał przed sobą całą późniejszą jego twórczość — byłby się przekonał, jak ta sarmacka fizyonomia rozwijała się wspaniale, nie zmieniając swego charakteru, a zdobywając sobie prawdziwe „wszechświatowe obywatelstwo".

Intencya zresztą, aby Szopen stał się zrozumiałym dla wszystkich narodów — jest bardzo słuszną — sam jednak Szumann, przejęty uwielbieniem dla niemieckiej muzycznej kultury — uważający sztukę Mozarta za ideał wyrazu muzycznego — nie mógł sobie zdawać sprawy ze skarbów, jakie leżą w naszej „sarmackiej muzyce — i nie przypuszczał pewno możliwości, że wytworzyć ona może w tym stopniu, co u Chopina, własny typ — własną kulturę. A nie mylił się wcale Schumann, pisząc swój piękny znany frazes, że: „gdyby samowładny monarcha Północy wiedział, jakich ma wrogów w skromnych melodyach Mazurków — zakazałby takiej muzyki — bo to armaty ukryte wśród kwiatów".

Sztuka Chopina była jednak jeszcze czemś więcej — ona nie tylko pokazała żywą moc narodu, nam o nas samych i innym o nas mówiąc — najsilniejszym i najbezpośredniej, bo na uczucie działającym — językiem tonów, ona stała się innym nauką i wzorem, a naszym narodowym skarbem i do niej można zastosować tę, w chwili świętego entuzyazmu i świętej wiary poczętą apostrofę Słowackiego w Samuelu Zborowskim:

Sztuka! rzecz to wielka
Narodów całych często zbawicielka
Przechowująca na dnie — duszę duszy.

Henryk Opieński.

BAL W POZNANIU

(przed stu laty).

Dzień 23 lutego 810 roku.

Brama tryumfalna, a na niej napis:

„Walecznym Ojczyzny obrońcom"...

Tłum mieszkańców wychodzi naprzeciw. Imci pan Rose, prezydent Municypalny, gwardya w paradzie, oczekiwanie, radość i zapał.

— Co takiego? Kto przybywa?

Oto z Swarzędza przybywa do Poznania batalion pułku Siemianowskiego.

Podprefekt Żychliński wita piękną przemową przybywających gości, a tłum wznosi okrzyki na cześć obrońców.

Wieczór Poznań jest iluminowany.

Zaś w pałacu narodowym bal wspaniały.

Siemianowski wchodzi do sali balowej, a z nim oficerowie, podoficerowie i prości żołnierze.

— Jakto? nie patrzono na rangi, nie ceniono odznak, lecz i prostych żołnierzy na bal zaproszono?...

Tak jest. Obecni na balu wojewodowie Wybicki, Działyński i Bieliński, obecne na sali damy z najwyższych sfer, kwiat inteligencyi, jednak ubogie mundury prostych żołnierzy nie rażą, ani nie cofają się wstecz.

Bal rozpoczęty i panie dostojne podają same dłonie do tańca żołnierzom, bo widzą obrońców Ojczyzny, a nie niewolników odbywających tylko służbę z musu.

Podczas poważnego poloneza, gdy wokoło sali przesuwały się pary pięknych dam i żołnierzy — obecni na sali rzucali na tańczących liśćmi laurowymi.

Tak samo przy wieczerzy, cały stół otoczony był wieńcem laurowym, a wszyscy od najwyższych rangą, do najniższych równo byli usługiwani i bawieni.

W pałacu narodowym bal się przeciągnął do 6-ej rano.

Była to chwila o jakiej długo wspominano i my na pożółkłych kartach gazety „Korespondent warszawski z roku 810 opis tego balu w Poznaniu znaleźliśmy.

Płomień.



Polowanie z chartami.

Jedna cegła.

W Toruniu, dna 19 lutego 1810 roku była ciekawa uroczystość.

Oto generał Woyczyński, gubernator Torunia i pułkownik Dziewanowski, przybyli w obec dostojnych osób i członków magistratu, do domu starego, poczerniałego.

Murarze czekali na dostojników. Zaczęli uderzać ostrożnie młotkiem, pracowali jakoby koło czegoś bardzo cennego i z muru tego domu wyjęli jedną cegłę...

Wykonane to było w obecności magistratu i dostojników wyżej wymienionych.

Na cegle położonu napis, przyłączono do niej dokument z podpisami obecnych i oddano pułkownikowi Dziewanowskiemu.

Jedna cegła z domu z Torunia jako pamiątka została odwieziona do Puław, gdzie ją umieszczono wśród zbioru cennych pamiątek.

— Jedna cegła? spyta może niejedna osoba... Cóż takiego ważnego w jednej cegle i jakaż jej wartość?..

— Cegła wyjęta z domu Kopernika, z domu, w którym się znakomity astronom urodził dnia 19 lutego 1473 roku...

Gdy się o tej cegle dowiedzieli Niemcy, dalejże w wszystkich pismach gwałt podnosić i krzyk:

— Kopernik nie Polak, Kopernik nasz!..,

Żal było Niemcom, iż tę jedną cegłę do Polski wzięto i radziby byli poruszyć niebo i ziemię,

ażeby udowodnić, iż cegła w Puławach umieszczona przypomina Polakom Niemca...

Ale smutny był zawód...

Wkrótce potem znakomici historycy nasi udowodnili metrykami, iż ojciec Kopernika Marcin, był mieszczaninem krakowskim, matka zaś była siostra biskupa Warmińskiego, Watzlerodówna.

Jedna cegła przywieziona z Torunia na ziemię Polską, to zdaje się drobiną, a jednak jak wiele w tem idei i myśli. Tak Polakom cenne i drogie jest to wszystko, co z imieniem Polski złączone — a Niemcom tak żal wszystkiego, co naszą chlubę przypomina, iż i o jedną cegłę gwałt czynili...

Gdybyśmy chcieli po jednej cegle brać tam, gdzie pamiątki po wielkich Polakach zostały, tobyśmy może wielki gmach z tego zbudowali.

Jan Świerk.

To było dawniej.

Kto nie słyszał przysłowia: „Zastaw się i postaw się“ lub „Jak cię widzą, tak cię piszą“? Od dawien dawna przysłowia te zachowały się po dziś dzień i tak często niestety stosowane w życiu, rujnują dobrobyt rodzin, a jeżeli rodziny materyalnie nie domagają, to troska ustawiczna o byt przytępia umysły i ujemnie wpływa na moralne życie ludzi. Największą wadą na karb tych przyzwyczajeń czynioną jest niezrozumienie tej prawdy, że nie suknia ani pięknie umeblowane pomieszkanie czynią ludzi przyjemnymi, lecz przedewszystkiem *uczciwość i szlachetność* człowieka — nie stroje, lecz wartość moralna, dobre serce i piękna dusza.

Ludzie, którzy na zewnętrzny wygląd uwagę swą tylko zwracają, nie zasługują na miano ludzi, ale lalek, dla których tylko zewnętrzna strona istnieje, dla których piękna suknia, lub pięknie, zbytkownie urządzone mieszkanie stanowią cel życia, jego największe dążności. Jednak z oświatą małostki ustępują a miejsce ich zajmują poważniejsze rzeczy. Dziś więcej jak dawniej baczą rodzice na to, aby ich dzieci wykształcenie należyte posiadły, aby nauką wzbogaceni nie obawiali się burz życiowych, ani próżni i zniechęcenia do życia, które są następstwem płytkiego wychowania opartego na zewnętrznych błyskotkach i użyciu.

Lecz pomimo, że z każdym rokiem wzrasta liczba rozumnych ludzi, wielka część społeczeństwa naszego pozostaje jeszcze pod wpływem zgubnych przyzwyczajeń i choć to było dawniej, nie przestaje w naśladowaniu rzeczy płytkich i powierzchownych. Ileżto razy zdarza się, że ludzie młodzi, posiadający zdrowie i dziesięć palcy za cały majątek i wykształcenie, pobierają się na wspólne pożycie, zamiast zaczynać budowę tego gniazda rodzinnego od tego co posiadają, zadłużają się po uszy, biorąc potrzebne i niepotrzebne urządzenia mieszkania na wypłat i przez lata całe płacić muszą nadwyżkę, to jest procent. Często zdarza się, że któreś z małżonków zachoruje i nie może płacić przynależnych rat i wtedy kupiec bierze bez pytania sprzęty i pozostawia mieszkańców bez niezbędnych urządzeń. O ile lepiej zrobiliby ci niebaczni, gdyby zamiast knpowania na wypłatę niepotrzebnych i zbytkowych urządzeń kupili za gotówkę niezbędne do gospodarstwa sprzęty a następnie za zaoszczędzone pieniądze odkupywali powoli, aż będzie wszystko potrzebne w domu, wtedy mniej byłoby biedy na świecie a rodziny nie przymierałyby z głodu jak to często zdarza się tam, gdzie raty na czas popłacić muszą. Ale, pomyśli niektóra młoda czytelniczka, jak to może być, abym miała gorszą suknię lub urządzenie mieszkania od mych przyjaciółek, znajomych i sąsiadek, przecież one śmiałyby się ze mnie, że biedną jestem itd. Wierzajcie szan. czytelniczki, że te kobiety, które śmiać się będą, nie warte są waszej znajomości i na nic nie uważajcie, bo jeżeli suknia u nich zastępuje was, jeżeli więcej dla nich posiadającemi są wasze sprzęty w pomieszkaniu jak wy same, to i nie warto na gadania takich zwracać uwagi, ale tak postępować, jak praktyczniej i lepiej. Gdyby młode kobiety wszystkie gardziły takiemi, które plotki lubią, wtedy praca poważna i celowa zajęłaby miejsce czczej gadaniny i więcej byłoby pracy a z niej korzyści dla społeczeństwa.

Dawniej to tak było, że z braku tematów i pracy zjeżdżały się kobiety z całej okolicy i chwile wolne od domowych zajęć poświęcały dla ubogich, szyjąc wspólnie sukienki lub ucząc biedne dzieci — dzisiaj kiedy temi rzeczami trudnią się towarzystwa specyalne i społeczeństwo, budując przytuliska, szkoły i inne dobroczynne i naukowe zakłady, czas wolny od zajęć przeznaczamy pracom narodowym i społecznym, bierzemy czynny udział w towarzystwach i organizacyach i ci, którzy tak robią nie mają wiele drogiego czasu na bezpożyteczne marnowanie swych zdolności na przeróżne mniejszej wagi, powierzchowne błyskotki. Lecz czy wiele kobiet wolnych jest już od tych przyzwyczajeń? Czy wiele oddaje się prawdzi-

wemu posłannictwu, które każdego myślącego człowieka dotyczy? Odpowiedzmy na te pytania same, zobaczmy cośmy uczyniły i jak postępujemy, aby zbyć się wad naszych i małostek a nabyć zdrowych zasad i dążeń — uważmy co czynimy, aby naszą młodzież na dobrych Polaków wychować. Każdy Polak i Polka czynnem życiem dowieść powinni, że jest częścią składową ogólnej masy, a aby dowieść tego nie potrzeba nam czynów głośnych, lecz cichej pracy w kółku naszych najbliższych, poczynając od podstaw, od wyzbycia się tych małych nawyknień do próżności i błyskotek a zastąpienia ich uszlachetnieniem charakteru i wykształceniem umysłu.

Polki-kobiety nie są wolne od tych obowiązków i jako członkinie narodu przodującego powinny wszędzie i zawsze w dobrych sprawach i czynach być przykładem. Niech to, co było dawniej będzie nam tylko pamiątką drogą, a to co dziś jest, niech zajmie nasze umysły i pochłonie energię, a wtedy i przyszłość jaśniejszą będzie, wtedy i dobrobyt zakwitnie. Zamiast więc przyzwyczajeń, które dawniej były, twórzmy sobie życie takiem, jakiem być powinno.

Przeciw nikotynie.

Pewien włoski uczony nazwiskiem Ferrani, na podstawie faktów z życia wziętych wykazał, jak bardzo szkodliwem jest dla zdrowia ludzkiego palenie tytuniu. Palenie papierosów, cygar i t. p. sprawuje w człowieku — wycieńczenie organizmu, przytępienie rozumu i osłabienie woli, czyli energii życiowej. Skutki te wywołuje palenie w każdym dorosłym człowieku; w dzieciach zaś jest ono wprost zabójcze. Dzieci, które palą tytuń, nabywają wkrótce wielu bardzo poważnych chorób — serca, mózgu i wnętrzności. Na dwieście dzieci palących tytuń, które badał Ferrani, dziewięć zachorowało na oczy, dwadzieścia trzy na żołądek i jelita, piętnaście na serce, a sto pięćdziesiąt trzy na różne choroby nerwowe.

Smutna rola w dziejach nerwowości przypadła tytuniowi. Używany w celu złagodzenia pewnych stopni nerwowości, potęguje ją i stwarza nowe zło. Decaine w rozprawie swojej o dzieciach palących wymienia liczne przykłady takich, które rozpocząwszy świetnie swe studya, niebawem stały się leniwemi i gnuśnemi; Bertillon ogłosił ciekawą statystykę uczniów słynnej szkoły politechnicznej w Paryżu, stanowiących kategoryę o przeciętnym wieku lat 20.

Oto tabliczka jego:

Licea lub szkoły	Przeciętna liczba uczni. niepalących	zwycz. palących	nam. palących
Donai—filozofia . . .	6.—	9.05	15.05
„ „ nast. rok	2.05	6.06	10.07
St. Quentin — filozofia	2.05	4.—	4.—
„ retoryka .	6.08	8.06	12.05
Chambery „ .	6.—	14.—	11.09
Rollin—nauki matem.	8.16	7.16	10.75
Montpellier — retoryka	14.08	17.04	22.02
Donai — semin. naucz.	17.61	19.02	16.02
„ szkoła górnicza	12.—	9.03	10.—
„ „ wyższa	9.02	11.02	13.—
Jednoroczni ochotnicy 14 lat strzelców . .	15.42	20.04	23.04
Saumur — szkoła weterynaryi wojskowej .	4.06	16.09	15.02
Brest — szkoła maryn.	10.07	22.01	12.02
Paryż — wyższa szkoła normalna	9.02	6.05	10.01
Paryż—szkoła budowy mostów i dróg . .	9.—	11.—	15.06
Paryż—szkoła politechniczna	63.15	59.02	58.09
Paryż—szkoła politechniczna w nast. roku	65.06	86.01	97.—
Ogółem	260.74	329.16	379.15
Przeciętna liczba . . .	16.03	19.04	22.03

Doktór Constan poparł studyum powyższe licznemi nowemi badaniami i porównując lekcye wychowańców w roku ich wstąpienia do zakładu z lekcyami w chwili wystąpienia spostrzegł, iż niepalacze stracili 2, słabsi palacze 26, namiętni palacze 38 lekcyi. Czyż nie wystarczy wam tu wymowa cyfr? — Pójdźmy dalej. Z 59 wypadków silnych cierpień nerwowych (hemiplegia, zmiękczenie mózgu, paraplegia, afazya, paraliż) przypada według Taminerla 41 na palaczy w szczególności, 30 na pamiętnych palaczy. Piasecki, lekarz fabryki tytuniu w Havrze, skonstatował u dzieci robotnic śmiertelność bardzo wielką, bo wynoszącą 223 na 376; z tej liczby umarło 55 na choroby mózgowe, na menigitis i na kongestyę. Doktór Gase, długoletni lekarz fabryki tytuniu w Touncino, spostrzegł, iż najpowszechniejszemi chorobami u tamtejszych robotnic są cierpienia nerwowe, konwulsye, kurcze, apopleksya i epilepsya. Doktór Hastyngs spostrzegł najgroźniejszy objaw epilepsyi u chłopca 12-letniego, który od lat dwóch namiętnie palił. Leczony bezskutecznie rozmaitymi środkami, wyzdrowiał przez zupełne

zaniechanie tej przywary. Doktór Bourdyn zestawił cyfry, wykazujące wzrost konsumcyi tytuniu we Francyi z cyframi, przedstawiającymi wzrost chorób umysłowych. Te ostatnie nie pozostają wprawdzi w bezpośrednim związku przyczynowym z pierwszemi, są jednak zbyt wymowne, aby nie zdołały pobudzić czytelników do zastanowienia.

Podaję jego tabelkę.

Rok	Konsumcyi tytuniu	Liczba obłąkanych
1860	16,018,495 klg.	13,283
70	19,218,406 „	20,061
80	29,580,668 „	28,761
90	31,349,131 „	29,153
1900	33,556,371 „	47,463

W pięciu departamentach Francyi, gdzie najwięcej się tytuniu wypala (Nord, Pas-de-Calais, Meurthe et Moselle, Buches du Rhone, Alpes Maritimes) przeciętna liczba konsumcyi tytoniu (z doliczeniem dzieci i kobiet) wynosi 1,762 klg., a przeciętna liczba obłąkanych w każdym departamencie 769.

W pięciu innych departamentach, gdzie mniej się pali: Avegron, Loicre, Dordogne, Haute Loire. Charente) wypada na jednego mieszkańca 408 gr. tytuniu, a na jeden departament tylko 288 obłąkanych.

Liczby powyższe dowodzą wedle mego widzenia, że tam, gdzie jest więcej palaczy, a tem samem i więcej obłąkanych, nie wykluczając zresztą możliwości, że takie nadużycie tytuniu powiększa liczbę zboczeń umysłowych.

Tomasz Ambroży Andrzejewski.

TO I OWO.

Zwyczaje towarzyskie w Anglii.

Anglia nadaje ton wszechświatowemu „highlifowi“, jak to czyniła niegdyś Francya, zdemokratyzowania obecnie. Kraj, w którym zasiada na tronie pierwszy gentleman w Europie, może dyktować mody nietylko w zakresie toalet. Życie towarzyskie dąży coraz bardziej do uproszczenia obowiązków światowych i do zdjęcia z bark nadmiernej pańszczyzny. I tak naprzykład w Anglii rozpowszechnia się coraz bardziej zwyczaj zapraszania gości przez telefon, a to nietylko na mniej liczne zebrania, ale i na większe. Przed wydaniem dużego balu, albo koncertu-rautu, gospodyni domu ogłasza o jego terminie w poczytnych dziennikach, a następnie do osób, które pragnie mieć u siebie, rozsyła swoje bilety wizytowe z dodaniem na rożku: Music albo Dance. Zaproszenia na duże bale rozsyłane są na sześć tygodni przedtem: jeżeli jaki książe lub księżniczka krwi ma je zaszczycić swą obecnością, dodaje się: ze współudziałem J. Kr. Wysokości. Ponieważ i w Anglii, jak wszędzie na świecie, młodzieży męskiej jest mało, poradzono sobie w taki sposób. Podczas sezonu „klub kawalerów“ urządza tygodniowe przyjęcia, na których bywają damy, prowadzące duże domy. Następują prezentacye i z pośród obecnych panie wybierają gości, mających zapełnić ich salony. Po zaproszeniu ustnem musi nastąpić drugie — piśmienne.

Godzina obiadowa jest coraz późniejsza w Londynie, w obecnym sezonie high-life jada o 9-ej. Na proszonych obiadach pani domu idzie pierwsza do sali jadalnej, za nią panie, za nimi — panowie; prowadzenie się parami wyszło ze zwyczaju. Obiady bywają krótkie, coraz mniej win przychodzi na stół, wyrugowała je woda zwyczajna lub wody mineralne. Przed każdym z gości stoi malutka karafka whisky. Ulubioną formą przyjęć jest tak zwany „frescolunch“: panie raz na zawsze proszą sąsiadów do śniadania. Miejsca przy stole nie są wyznaczone. Każdy siada, gdzie chce. O 3-ej goście rozchodzą się obowiązkowo.

Aresztowanie fałszerza pieniędzy.

Z Madrytu donoszą do dzienników paryskich, że aresztowany ks. Beneventu prowadził fałszerstwo pieniędzy na wielką skalę. Należy on do najpierwszych grandów w kraju. Mając proces rozwodowy z żoną, kilkakrotnie nie chciał płacić kosztów procesu, skutkiem czego zjawiła się u niego komisya egzekucyjna, która znalazła za drzwiami aparat do fałszowania monet oraz magazyn gotowych falsyfikatów. Podejrzenie współwiny pada na wielkiego bankiera w Madrycie Arellano. Książę tłómaczy się, że nigdy nie przebywał w swojej posiadłości, i że warsztat musiał ktoś inny utrzymywać.

Skrzynka Redakcyi.

WP. **Jan S.** w T. Damy w przyszłym numerze.

WP. **L. S.** w Dob. Otrzymaliśmy właśnie; dziękujemy serdecznie, zużytkujemy w odpowiedniej chwili.

WP. **K. Gorz.** w Lub. Żądany adres: Wilno, Dominikańska 17.

WP. **K. P.** w L. Odpowiemy obszerniej listem.

Rozszerzajcie pismo nasze!

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ

(Ciąg dalszy.)

KSIĘGA III.

Częstochowa.

Dzień był wiosenny, nielitościwie piękny i spokojny ponad tą nieszczęśliwą Polską, której niebiosa urągały lazurem, ptacy pieśniami, powietrze wonią młodości i świeżości; dzień był tak rozpaczliwie i niepojęcie jasny, cichy i błogi, jak bywa czasem na cmentarzu w czasie pogrzebu, aby ludziom przypomniał ich znikomość, a Bożą nieśmiertelność.

I w tym roku żałoby rozwijały się drzewa, przyleciało ptastwo, rozkwitły na mogiłach kwiaty, a w stolicy Saldern miotał obelgi na nieposłusznych i uległych sobie, na upokorzonych i zaprzedanych, na wszystkich... czuł się biczem Bożym i urągał przybitym z szatana cynizmem. Deptał nogami Polskę i plwał w twarz królowi, a liżącym mu się rzucał garść złota z pogardą. Prymasowi... chlubił się, że odebrał kochankę, Ponińskiemu bluzgał — idź precz, nie dam ci więcej pieniędzy.

Podział nieszczęsnego kraju już był postanowiony, Fryderyk przypisywał go Katarzynie, Katarzyna zrzucała go na ks. Henryka, w końcu wszyscy składali inicyatywę na zajęcie Spiżu przez Austryą, która znak dała i zatrąbiła na owo pogrzebowe.

Nad zwycięstwo nieprawości, nad tryumf siły zwierzęcej, i bezprawia było coś straszniejszego... to spodlenie narodu.

Oprócz kilku głów, co posypane popiołem nie ugięły się do ostatka, przócz kilku co poszli łkając na dobrowolne wygnanie, iluż to ich całowało ręce króla i posła! brało ordery i urzędy! Iluż, jak Zaręba, chroniąc majątki, oddali honor, zdradzili sprawę, sprzedali sumienie.

Zniszczenie, wytępienie — wielka jedna mogiła na karcie dziejowej nie byłaby tak straszną, jak to zdeptanie narodu, któremu urągał nieprzyjaciel płacząc, a potem za ten grosz judaszowski pędzili hultaje szaleć, hulać, skakać i zapijać robaka, co im piersi przegryzał...

Wiosna była piękna, a wpośród brzóz zielono rozpuszczających na rozdrożach, przy wsiach, stały Drewiczowska i Salderna szubienice, a na szubienicach pod pozorem konfederatów i ich

wspólników wisiały trupy ludzi nieznanych... Psy głodne wyły u ich stóp, krucy padali na czaszki i wydzióbywali oczy.

W Warszawie bale po balach następowały, król się cieszył znacznem uspokojeniem kraju, Poniński gotował do sejmu... kilku ludzi na męczeństwo...

O karto żałobna dziejów naszych, któż cię — napisać potrafi? Z palmą dla jednych, z piętnem hańby wiekuistej dla drugich... stać musi historyk i znaczyć zbrodniarzy i płakać nad ofiarami.

Sprawa poczęta w Barze dogorywała, wojska trzech mocerstw zwolna, cicho, posuwały się w głąb kraju. Reszty pułków Królowej, reszty krzyżowych rycerzy poddawały się przemagającym siłom; rozbrojeni szli płakać na zgliszcza domowe, albo na wieczne wygnanie, lub do trumien na sen — z marzeniem o ojczyźnie.

Cichy wieczor tej wiosny wiał niewymowną świeżością, rosa spadała na trawy i kwiaty, wiatr z lekka falami zbóż kołysał, a kłosy kwitnące wonią miodową przepełniały powietrze. Nad tą biedną Polską równiną — zawsze smętną jak pobojowisko, zasianą krzyżami czarnemi po rozdrożach jak cmentarz... zachodziło słońce ciepłe... jakby nie nasze, pożyczone gdzieś z gorętszego nieba.

W gaju sosnowym, który gdzieniegdzie maiła brzoza a podszywała leszczyna, nad małą drożyną wiejską, stała chata leśniczego, nędzna lepianka stara, na pół w ziemię zapadła; dach na niej mchem obrosły, ogródek ledwie obrzucony płotem, ubóstwo sięgające nędzy. Bogactwo jej stanowił las, zieleń, cisza w koło, swoboda pustyni.

Z po za drzew w dali na skraju, jak sięgało oko, widać było górę, a na niej mury i wysoką wieżycę.

Była to Jasna Góra, a twierdza ta... zwała się Częstochową. Słynne imię, wielkie imię... gdzie Bóg zwyciężał niegdyś.

Przez okno otwarte chaty, wprost wyjrzawszy, wzrok padał na tę latarnią,. jakby strażniczą u brzegu morza.

Na widok jej kłoniły się głowy pielgrzymów, biły serca, jak w kampanii rzymskiej, gdy na widnokręgu ukaże się kopuła św. Piotra.

I teraz okienko stało otworem, a w oknie pochylona, blada twarz, młoda, tęskna... patrzała ku Częstochowie.

A słońce zachodzące oświecało świat, nucąc promieniami swemi złocisty hymn wieczora.

W chacie leśnika ubogo było, ubogo; czarne ściany mchem otkane, ławy wysiedziane, piec czarny, siwy staruszek w połatanej siermiężce domowej, w zgrzebnej koszuli kobieta i dziewczątko kilkoletnie, ciekawe, w kęciku za piecem.

Wśród izby roztaszowało się kilku ludzi; starzec z długim wąsem srebrnym i krótko ostrzyżoną głową, posępny, pochylony, ze świeżemi ledwie zaschłemi blizny, kilku żołnierzy przy nim na ziemi, a na ławie u okna, młody ów chłopak blady. Wszyscy w milczeniu zdawali się ino czekać ciemniejszego wieczora... byli w pogotowiu do drogi.

Z resztą oddziału niedobitków swych z Tyńca przedzierał się do Częstochowy pułkownik Skiba, i wyleczony nieco z rany młodości Karol, i pocięty Samocha i kilku żołnierzy, co się ani w niewolę, ani do grobu dostać nie mogli.

Szli na Jasną Górę... bo tam jeszcze siedział pierwszy i ostatni z konfederatów, Pułaski.

Trzech ich miał synów starosta Warecki, wszystkich trzech wziął z sobą z domu i poprowadził ojczyźnie, wówiąc w duszy:

— Daję ci wszystko co mam — siebie i dzieci.

— Podkomorstwo koronne, starostwo Wareckie, Pułaż, Kostry, Grabów, Deraźnię.. życie własne, imię poczciwe — to nic — wiodę ci dzieci jedyne.

Poszli wszyscy, ale starosta Warecki mógłże bronić ojczyzny, kiedy za młodu u trybunałów bronił JMKks. Czartoryskich?? Jeden z palestry wyszły szlachetka, miałże dostąpić czci męczeństwa, ofiary sławy zbawcy i bohatera?

Na to głowy konfederacyi pozwolić nie mogły, krzywo na ten ród rycerski patrzano... nie należał do uprzywilejowanych zbawców ojczyzny.

Pułascy się bili, rada konfederacyi deliberowała, a w końcu odsadzono Pułaskich od prawa przelewania krwi i bronienia ojczyzny... bo to służyło od wieków Potockim, Lubomirskim, Krasińskim.

Stary Józef Pułaski wydany Turkom, zamknięty do więzienia, ze zgryzoty przeklinając niegodne dzieci tej ojczyzny, której bronił — zmarł na obcej ziemi, — zaprzedan niewiernym przez swoich.

Synowie... poszli ginąć za ojczyznę po jednemu.

Patrząc na ich bohaterstwo z zazdrością, drudzy szli, zdradziwszy sprawę, do domu, bo im sprostać nie mogli.

Ostatni, Kazimierz, trzymał się na Jasnej Górze... w Warszawie mówili ludzie rozsądni — sza-

leniec! w ciszy wiejskiej wzdychali ludzie poczciwi a słabi — mówiąc — Męczennik.

Kazimierz stał do końca na posterunku.

Do tej chorągwi z N. Panną ciągnęły wierne niedobitki, jak on niechcące złamać przysięgi, pragnące zginąć dla imienia Bożego i imienia polskiego!

Wieczor powoli, jakby nie śmiejąc dnia pięknego pokryć cieniem, zsuwał się na ziemię pokropioną rosą chłodną. Promień ostatni zachodzących już blasków wdzierał się do chaty, oświetlając twarz bladą i smętną młodego chłopaka.

Skiba w ręku przesuwał różaniec, a głowę miał spuszczoną i twarz posępną, znać mu już życie ciążyło.

Wszystko milczało — cóż było mówić, gdy z ust lała sie rozpacz krwawa, a głowy od niej szalały?

W tem na ścieżce, okryty kurzawą, ukazał się żebrak stary, z siwą do pasa brodą.

Okryty był zszarzaną siermęgą, podpasany sznurem, szedł pieszo z kijem w ręku, z torbą próżną na plecach, ale spojrzawszy mu na twarz poznał każdy, że to nie był dziad co żebrze i życie po drogach rozrzuca.

Pod łachmanem żebraczym świecił w nim majestat królewski... twarz była straszna i groźna, jakimś wyrazem niedoli a rezygnacyi. Nieokryta czaszka wznosiła się jak kopuła świątyni nad tą budową człowieczą, już na poły zburzoną, a jeszcze wielką i poważną.

Siwych dwoje brwi rozrosłych, krzaczystych pokrywały oczy czarne, żarzące się dziwnie, mówiąc, potęgą wzroku pociągające człowieka.

Na licu ogorzałym fałdy powyrzynały łzy, marszczki wyżłobiła boleść; żyły jak siatką lice pokryły, znać krwi w nich płynęło więcej, niż strzymać mogły, bo wzbierały węzłami na skroni i wychudłych policzkach. Resztę twarzy jakby umyślnie kryły siwe włosy obfite, potargany wąs i broda.

Szedł nie patrząc, nagle się sparł na kiju, stanął przeciw drzwi chaty i podniósł głowę i oczy. Przez otwarte drzwi widać było Skibę odmawiającego różaniec, leżących kupkę żołnierzy, a dalej w oknie twarz zadumaną młodzieńca. Żebrak czytał w tym obrazie i nie wchodząc do ubogiej chaty, naprzeciw niej zsunął się na ziemię pod starą sosną... Na kolanach oparł ręce, na dłoniach położył czoło, spuścił głowę modlił się czy płakał...

Ludzie postrzegli go a ubogi leśniczy poszedł z bochenka chleba czerstwego odkroić kromkę, bo nie mógł przepuścić ubogiego mimo chaty, aby z nim nie podzielił się choć okruchem daru Bożego. — Dar to był... suchy, spleśniały, gorzki, ale ostatkiem łamał się biedny, pokornie go przyniósł ubogiemu, cicho położył przed nim.

Żebrak podniósł głowę i wziół chleb.

— Niech Bóg zapłaci — szepnął cicho — jam nie głodny, ale dar to Boży...

Obłamał kruszynę i włożył ją w usta.

— Dzielę się z tobą...

Pobłogosławił resztę.

— Weźmij to — rzekł — dobry człecza, opatrzność ci pomnoży, boś był posłuszny rozkazom Bożym.

Leśnik się pokłonił... w tem Skiba podniósł oczy i zobaczył także żebraka.

Obaczywszy go zdrętwiał na chwilę, potem się nagle zerwał, przestraszony, poruszony i pobiegł ku niemu.

Dwaj ludzie ci długo patrzali na siebie oko w oko, żaden słowa powiedzieć nie mógł czy nie śmiał.

Na twarzy przybysza nie zmienił się wyraz spokoju, pułkownik walczył z sobą, kilka razy usta chciał otworzyć, zadrgały mu, nie powiedział słowa, wyciągnął ręce — niemy. — Żebrak nie podał mu dłoni... ani okazał uczucia.

— Ojcze! ty żeś to! ojcze! — zawołał nareszcie Skiba, prawie chcąc paść na kolana, tak się ku niemu pachylił.

Nic nie mówiąc żebrak głową potrząsał — jakby nierad i gniewny.

Pułkownik odstąpił smutny.

— Zkądże to Pan Bóg prowadzi? — zapytał.

— Mnie? — odrzekł przybysz — mnie z daleka! z daleka! całe życie wędrówką.

— To jego głos! to on! — zawołał Skiba.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Nie, Lorin — śmiejąc się, odparł Maurycy — ja nie śpię, ale marzę.

— Aha, rozumiem.

— I cóż, ale ja nie rozumiem.

— Ba! a piękna Eucharis?

— O kimże mówisz? Co to za Eucharis?

— A jużci! ta kobieta.

— Jaka kobieta?

— Kobieta z ulicy św. Honoryusza, kobieta z patrolu, owa nieznajoma, dla której obaj ryzykowaliśmy wczoraj nasze głowy.

— A! prawda — odpowiedział Maurycy, wiedzący doskonale, co chce mówić jego przyjaciel, ale udający, że go nie rozumie — kobieta nieznajoma!

— I cóż! co to za jedna?

— Nie wiem.

— A taka ładna?

— Pfe! — ziewnął Maurycy pogardliwie, rozszerzając usta.

— Biedna kobiecina zapomniana na jakiejś miłosnej schadzce.

— Być może — szepnął Maurycy, z odrazą myśl podobną od siebie odtrącając, bo w tej chwili wolałby był widzieć w swej pięknej nieznajomej uczestniczkę jakiego spisku niż kobietę zakochaną.

— I gdzież mieszka?

— Nie wiem.

— No, no! nie wiesz, to być nie może?

— Dlaczego?

— Boś ją odprowadzał.

— Uciekła mi na moście Maryi.

— Uciekła tobie — zawołał Lorin głośnym wybuchając śmiechem — Kobieta uciekła tobie, żartujesz!

Gołąb pod okiem sokoła
Napróżno wzlatuje w chmury,
I młode jagnię próżno matki woła,
Gdy w nie wilk utopi pazury.

— Lorin — rzekł Maurycy — czy ty się nigdy już nie nauczysz mówić po ludzku? Okropnie mi drażnisz nerwy twoją nieznośną poezyą.

— Jakto mówić po ludzku! ale zdaje mi się, że ja mówię lepiej jak wszyscy inni. Mówię wierszem i prozą. Co do mojej poezyi, mój kochany, znam ja jednę Emilię, która nie znajduje jej tak złą, ale wróćmy do twojej.

— Do mojej poezyi?

— Nie, do twojej Emilii.

— Alboż ja mam jaką Emilię.

— No! no! miałażby twoja gazela przemienić się w tygrysicę i poka ać ci zęby, tak żeś zły choć zakochany.

— Ja zakochany! — zawołał Maurycy wstrząsając głową.

— Tak jest, zakochany.

Nie ujdziesz Amora grotów,
On prędzej serca dosięga,
Niż gdy Jowisza potęga
Miota pioruny wśród grzmotów.

— Lorinie — powiedział Maurycy uzbrajając się kluczem, który leżał na stole — jeżeli choć jeden wiersz jeszcze powiesz, natychmiast gwizdnę.

— No, mówmy o polityce. W tym celu właśnie przyszedłem, czy wiesz co słychać?

— Wiem, że wdowa Kapet chciała umknąć.

— Bah! to jeszcze nic.

— Cóż zatem więcej mówią?

— Sławny kawaler de Maison-Rouge jest w Paryżu.

— Doprawdy! — zawołał Maurycy siadając na posłaniu.

— On sam we własnej osobie.

— Lecz kiedyż przybył!

— Wczoraj wieczorem.

— Jakim sposobem?

— Przebrany za strzelca gwardyi narodowej. Jakaś arystokratka, jak utrzymują, przebrana za

pospolitą kobietę, wyniosła mu ubior za rogatki; a wkrótce potem prowadząc się z nim pod ręce wprowadziła go do miasta. Placówka powzięła podejrzenie dopiero gdy przeszli. Widziała, jak kobieta wspomniana niosła pod pachą zawiniątko, a później wracała z jakimś niby wojskowym; było w tem coś podejrzanego; zaalarmowała więc wszystkich i pobiegła za nimi. Znikli w jednym z pałaców przy ulicy św. Honoryusza, którego drzwi jakby zaczarowane dla nich się otworzyły. Pałac miał drugie wyjście na Elizejskie pola. Dobranoc, Kawaler de Maison-Rouge i jego spólniczka znikli. Zniszczą ten pałac, stracą właściciela; ale to nie przeszkodzi wcale kawalerowi kusić się znowu o to, co mu się nie udało przed czterema miesiącami poraz pierwszy, a wczoraj po raz drugi.

— I nie schwytano go? — spytał Maurycy.

— Ale, gdzietam.

— Wyznajmy, że dzielny z niego człowiek.

— W rzeczy samej, trzeba wielkiej odwagi, aby przedsiębrać podobne rzeczy.

— Albo wielkiej miłości.

— Ty więc wierzysz w tę miłość kawalera ku królowej?

— Nie wierzę, ale mówię o niej jak wszyscy. Wreszcie tylu za nią szalało, nic więc dziwnego że go uwiodła? Wszak mówią, że uwiodła Barnaw'a.

— Mniejsza o to, ale kawaler musi mieć stosunki w samem Temple.

— Być może:

Miłość kruszy kraty,
Miłość łamie zamki.

— Lorin!

— Ah! prawda.

— A więc i ty temu wierzysz?

— Dla czegobym nie miał wierzyć.

— Bo według twojej rachuby, królowa miałaby dwustu kochanków

— Dwustu trzystu, czterystu Wszakże dosyć sobie ładna. Nie mówię, że ich kochała; ale że oni ją kochali. Wszyscy widzą słońce, ale słońce każdego nie widzi.

— Tak więc powiadasz, że kawaler de Maison Rouge...

— Powiadam, że tropią go w tej chwili, a jeżeli umknie chartom Rzeczypospolitej, przebiegły z niego lis.

— A cóż gmina na to wszystko?

— Gmina przygotowuje postanowienie, na mocy którego na przedniej części każdego domu wywieszona będzie lista wszystkich jego mieszkańców płci obojej. Czemuż to w sercu ludzkiem niema okna, przez któreby każdy mógł widzieć co się w niem dzieje!

— Co za przewyborny pomysł! — zawołał Maurycy.

— O porobieniu okien w sercach ludzi?

— Nie, o wywieszeniu listy na drzwiach każdego domu.

W rzeczy samej Maurycy mniemał, że to mu umożliwi znalezienie swej nieznajomej, lub przynajmniej naprowadzi na jej ślad.

— Nieprawdaż? — spytał Lorin. Założyłem się już, że ten środek dostarczy nam odrazu pięciuset arystokratów. Ale, ale, dziś rano przyjmowaliśmy w klubie deputacyę ochotników; przybyła pod przewodnictwem przeciwników naszych z dzisiejszej nocy, których dopiero na śmierć zapiłych opuściłem; przybyła więc, powiadam z gierlandami kwiatów i wieńcami nieśmiertelników.

— Doprawdy! — zawołał Maurycy — a wieluż ich tam było.

— Trzydziestu, wszyscy ogoleni i z bukietami. „Obywatele klubu Termopilów — rzekł ich mówca — jako prawdziwi patryoci żądamy, pragniemy, aby nieporozumienie nie zakłócało jedności Francuzów i dlatego przybywamy na nowo zawrzeć związek braterstwa“.

— Następnie...

— Następnie przystąpiliśmy do zawarcia braterskiego związku na nowo i powtórnie, z sekretarskiego stolika i dwóch butelek z bukietami zrobiono ołtarz ojczyzny. A ponieważ byłeś bohaterem uroczystości, wzywano cię więc po trzykroć w chęci uwieńczenia; że zaś nie odpowiedziałeś, a potrzeba było koniecznie coś uwieńczyć, uwieńczono więc popiersie Washingtona. Otóż takim to sposobem i porządkiem odbyła się cała ceremonia

Właśnie gdy Lorin kończył to wiarogodne opowiadanie, które w owej epoce nie było wcale ucieszne na ulicy dał się słyszeć zgiełk i odgłos bębnów, naprzód odległy, potem coraz bliższy. Uderzono na trwogę.

— Co to jest? — spytał Maurycy.

— Jest to ogłoszenie postanowienia gminy — odrzekł Lorin.

— Biegnę do sekcyi — powiedział Maurycy wyskakując z łóżka i wołając na oficyalistę, aby go ubrał.

— Ja zaś pójdę spać — rzekł Lorin — dzięki twoim wściekłym ochotnikom, dwie godziny tylko spałem tej nocy. Jeżeli trochę bić się będą, nie przerywaj mi snu, gdyby zaś zaniosło się na dobre, przyjdź i obudź mię.

— Dlaczego-żeś tak się wystroił? — spytał Maurycy spoglądając na Lorina, który się zabierał do odejścia.

— Bo idąc do ciebie, muszę przechodzić ulicę Béthisy, a tam w jednym domu na treciem piętrze jest okno, które się otwiera zawsze, ilekroć przechodzę.

— I nie obawiasz się być wziętym za wytwornisia?

— Wytworniś ja! Ale, owszem, przeciwnie, znają mię wszyscy jako prawdziwego sankullotę. Lecz i dla płci pięknej wypada uczynić jakąś ofiarę. Miłość ojczyzny nie pogardza miłością kobiety, owszem jedna zaleca drugą. Tylko mi zarzuć co w tym względzie, a natychmiast denuncyuję cię jako arystokratę i każę cię ogolić tak, abyś nigdy nie potrzebował peruki. Bądź zdrów, kochany przyjacielu.

Lorin serdecznie podał rękę Maurycemu, którą tenże równie serdecznie uścisnął i wyszedł, przeżuwając pastylki.

V.

Kto to był obywatel Maurycy Lindey.

Maurycy Lindey spiesznie się ubrawszy, poszedł do sekcyi przy ulicy Lepelletier, której jak wiemy, jest sekretarzem. Podczas gdy tam bawi, skreślimy czytelnikowi obraz poprzedniego życia tego człowieka, którego wprowadziliśmy na scenę z powodu pociągu serca naszego ku dzielnym i wspaniałomyślnym naturom.

Młodzieniec ten najzupełniejszą i najczystszą wyznał prawdę, oświadczając wczoraj nieznajomej, że się nazywa Maurycy Lindey i mieszka przy ulicy du Roule. Mógł był dodać, że jest dzieckiem owej pół arystokracyi, dozwolonej klasie średniej. Przodkowie jego od lat dwustu odznaczali się ową wieczną opozycyą parlamentarną. Ojciec jego poczciwy Lindey, który przez całe życie wyrzekał przeciw despotyzmowi, umarł z przerażenia i trwogi, kiedy 14-go lipca 1789 r. Bastylja wpadła w ręce ludu, a w miejsce despotyzmu nastała wojująca wolność.

Pozostał po nim jedynak niezależny co do majątku i republikanin co do uczucia.

Pod względem fizycznym, Maurycy Lindey był to mężczyzna mający pięć stóp i ośm cali wzrostu, lat 25 lub 26, muszkularny jak Herkules, piękny ową pięknością francuską to jest czystem czołem, niebieskiem okiem, ciemnym wijącym się włosem, różowemi policzki, zębami jak kość słoniowa.

Skreśliwszy obraz tego człowieka, wspomnijmy teraz o jego stanowisku.

Maurycy nie bogaty wprawdzie, lecz niezależny, noszący szanowne a mianowicie popularne nazwisko, znany z liberalnej edukacyi, a bardziej jeszcze liberalniejszych zasad, stanął, że tak powiemy, na czele stronnictwa złożonego z młodych mieszczan patryotów. Być może, iż w oczach sankullotów uchodził za nieco oziębłego, a w oczach sekcyonistów nieco za eleganta, lecz pierwsi przebaczyli mu tę oziębłość, bo najsękatsze pałki łamał jak kruchą trzcinę, drudzy zaś przebaczyli elegancyą, widząc, że każdy z nich, kórego wejrzenie nie podobało się Maurycemu, ugodzony pięścią w czoło, od razu padał, tocząc się jak gałka.

Ważmy teraz Maurycego pod względem fizycznym, moralnym i obywatelskim razem. Znajdował się on przy wzięciu Bastylji, należał do wyprawy wersalskiej, walczył jak lew dnia 10-go sierpnia, i sprawiedliwie przyznać mu należy, że w owym dniu pamiętnym położył trupem tylu patryotów ilu i Szwajcarów; zarówno bowiem nie mógł cierpieć mordercy w kaftanie, jak i nieprzyjaciela Rzeczypospolitej w czerwonym mundurze.

On to, aby skłonić obrońców zamku do poddania się, oraz aby wstrzymać przelew krwi, rzucił się na paszczę działa, do którego właśnie paryzki artylerzysta przykładał już ogień, on pierwszy wdarł się przez okno do Luwru, mimo strzałów miotanych przez pięćdziesięciu Szwajcarów i tyleż szlachty rozstawionej na czatach; a gdy postrzegł oznaki kapitulacyi, straszny jego pałasz naruszył przeszło dziesięć mundurów; wówczas to widząc, że przyjaciele jego mordują więźni, którzy ciskając broń, wyciągali ręce, błagając o darowanie życia, zaczął wściekle siekać swych przyjaciół, a przez to zjednał sobie sławę godną pięknych dni Rzymu i Grecyi.

Po wypowiedzeniu wojny, Maurycy wstąpił do wojska i w charakterze porucznika ruszył ku granicy wraz z tysiącem pięćset ochotników, których miasto wyprawiało przeciw najedzcom, a za którymi wkrótce zdążać miało drugie tyle.

W pierwszej zaraz bitwie, to jest pod J'mmapes, kula przeszywszy żelazne muszkuły jego łopatki, oparła się na kości. Reprezentant narodu znający Maurycego osobiście, odesłał go na kuracyę do Paryża.

Przez cały miesiąc Maurycy pożerany gorączką wił się na łożu boleści; lecz w styczniu powstał znowu na nogi i jeżeli nie de titulo to przynajmniej de facto zarządzał klubem Termo

pilistów, to jest seciną mieszczańskiej, paryskiej młodzieży, uzbrojonej dla stawienia czoła wszelkim pokusom na korzyść Kapeta. Co większa: Maurycy z brwią zmarszczoną od ponurego gniewu, z rozszerzonem okiem, bladem czołem, z sercem zagasłem przez szczególne zlanie się nienawiści i litości, towarzyszył z wydobytą szpadą straceniu króla, i sam jeden może w całym tym tłumie milczał, gdy spadła głowa tego syna świętego Ludwika, gdy dusza jego wstępowała do nieba; wtedy dopiero, gdy już się wszystko skończyło, wzniósł w górę straszną swą szpadę, a wszyscy przyjaciele jego krzyknęli uniesieni wściekłą radością, nie zważając tym razem, zapewne przez wyjątek, że Maurycy głosu swego nie połączył z ich głosem.

Takim był człowiek zmierzający dnia 11-go marca rano ku ulicy Lepelletier, a któremu powieść nasza więcej nada wybitności w szczegółach burzliwego w owej epoce życia.

Około dziesiątej Maurycy przybył do sekcyi, której był sekretarzem.

Wielkie tam panowało wzburzenie, szło bowiem o wotowanie nad adresem Konwencyi co do poskromienia żyrondystowskich spisków. Maurycego więc niecierpliwie oczekiwano.

Główną kwestyą stanowił powrót kawalera de Maison-Rouge i śmiałość z jaką ten zagorzały buntownik wszedł po raz drugi do Paryża, mimo iż wiedział, że nałożono cenę na jego głowę. Temu to powrotowi jego przypisywano wczorajszy zamach w Temple; a każdy objawiał swą nienawiść i pogardę dla zdrajców i bogaczy.

Atoli wbrew powszechnemu oczekiwaniu, Maurycy był ponury i milczący. Zręcznie zredagował proklamacyę, w trzy godziny skończył całą pracę, spytał, czyli posiedzenie już zamknięte, a otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, wziął kapelusz, wyszedł i udał się na ulicę św. Honoryusza.

W tem miejscu Paryż wydawał mu się zupełnie innym.

Ujrzał on znowu róg ulicy du Coq, gdzie podczas nocy znalazł piękną nieznajomą, wydzierającą się z rąk żołnierzy. Ztamtąd aż do mostu Maryi szedł tą samą drogą, którą przebiegł w jej towarzystwie, zatrzymując się wszędzie, gdzie spotykał patrole, powtarzając rozmowę, jaką z nią prowadził; była to jednak pierwsza po południu, a słońce przyświecające tej jego przechadzce za każdym krokiem dodawało wydatności nocnym wspomnieniom.

Przeszedłszy most, wkrótce dostał się na ulicę Wiktora, jak ją podówczas nazywano.

— Biędna! — szepnął Maurycy — nie zastanowiła się wczoraj, że noc trwa tylko dwanaście godzin, że zatem tajemnica jej dłużej jak noc trwać nie będzie. Przy blasku słońca, znajdę drzwi, przez które skryła się przedemną, a kto wie, może i ją samą w jakiem oknie spostrzegę?

Był już wtedy na starej ulicy św. Jakuba i stanął tak, jak go wczoraj postawiła nieznajoma. Przez chwilę zmrużył oczy, sądząc może biedny szaleniec, że wczorajszy pocałunek powtórnie spiecze mu usta. Atoli uczuł samo tylko jego wspomnienie, jakkolwiek, prawdę mówiąc, i to wspomnienie piekło go.

Maurycy zatem otworzył oczy, ujrzał obie uliczki na prawo i lewo, błotniste, źle brukowane, z baryerami i mostkami na strumyku. Widział tam arkady na belkach, zakątki, bramy liche i przegniłe. Było to siedlisko najordynarniejszej pracy w całej swej nędzy, siedlisko nędzy w całej swej szpetności. Tu i owdzie ogród, otoczony już to płótnem, już ostrokołem, a niekiedy murem; skóry schnące pod szopami, ziejące przykrą garbarską woń. Szukał i kombinował przez dwie godziny, lecz nic nie znalazł; dziesięć razy zagłębiał się w ów labirynt i dziesięć razy znowu wracał w to samo miejsce, aby nie zabłądzić. Lecz wszystkie wysiłki były daremne, wszelkie poszukiwania bezowocne. Zdawało się, że mgła i desz zmyły zupełnie ślad młodej kobiety.

— Ha! — powiedział sam do siebie — marzyłem. Ta kloaka ani na chwilę nawet nie mogła służyć za schronienie mojej pięknej wieszczce z dzisiejszej nocy.

Dziki ten republikanin miał w sobie inny zupełnie rodzaj prawdziwej poezyi, aniżeli przyjaciel jego o anakreontycznych czterowierszach, wpadł bowiem na tę myśl, nie chcąc skazić jutrzenki okalającej głowę jego nieznajomej, chociaż prawda, że wpadł na nią z rozpaczą.

— Żegnam cię piękna skrytości! — rzekł — obeszłaś się ze mną jak z szaleńcem lub dzieckiem. Bo w rzeczy samej, byłażbyś mię tu przywiodła, gdybyś tu mieszkała? Nie! tyś tu tylko przeszła jak bocian po cuchnącem bagnisku, a śladu twego nie znać tu równie, jak śladu ptaka prującego powietrze.

VI.

Temple.

Tegoż dnia, podczas gdy Maurycy boleśnie zawiedziony, wracał przez most de la Tournelle, kilku urzędników w towarzystwie Santerr'a dowódcy paryskiej gwardyi narodowej, ścisłą od-

bywało rewizyę w wielkiej wieży Temple, od dnia 13 sierpnia 1792 r. przemienionej w więzienie.

Rewizya ta miała miejsce wyłącznie w apartamencie na trzeciem piętrze, złożonym z przedpokoju i trzech izb.

Jednę z tych izb zajmowały dwie kobiety, młoda dziewica i dziewięcioletnie dziecię, wszyscy ubrani w żałobę.

Najstarsza z owych kobiet mogła mieć trzydzieści siedm do trzydziestu ośmiu lat wieku. Siedząc przy stoliku czytała.

Druga również siedząca zajęta była robotą kobierca; mogła mieć lat dwadzieścia ośm lub dwadzieścia dziewięć.

Młoda zaś czternastoletnia dziewica stała przy chorem leżącem dziecku, które zamykało oczy, udając, że śpi, chociaż widocznie hałas jaki czynili rewidujący, spać nie pozwalał.

Jedni przetrząsali łóżka, drudzy rozwijali bieliznę, inni nakoniec skończywszy swe poszukiwania z natrętną i znieważającą uporczywością wpatrywali się w nieszczęśliwe więzione, z których jedna naumyślnie nie odejmowała oczu od książki, druga od roboty, trzecia zaś od brata.

Najstarsza kobieta była wzrostu słusznego, blada i piękna; czytając, zdawała się zwracać na książkę całą swą uwagę, chociaż według wszelkiego prawdopodobieństwa, tylko oczami lecz nie umysłem czytała.

Wówczas przystąpił ku niej jeden z urzędników, wyrwał gwałtownie książkę i cisnął na środek izby.

Uwięziona spokojnie wzięła ze stołu inną książkę i znowu czytała.

Góral uczynił wściekłe poruszenie chcąc z tą książką uczynić to samo co i z pierwszą, lecz młoda dziewica, widząc, że druga uwięziona, która haftowała przy oknie, zadrżała, dostrzegłszy to poruszenie, poskoczyła ku czytającej, otoczyła ramionami swemi jej głowę i z płaczem wyrzekła:

— O! biedna, biedna matko moja!

Potem ucałowała ją.

Wtedy uwięziona nawzajem przytknęła usta do ucha młodej dziewicy, niby chcąc ją także ucałować i szepnęła:

— Maryo, w piecu jest kartka, wyjmij ją

— No! no! — wrzasnął urzędnik nielitościwie, ciągnąc ku sobie młodą dziewicę i rozłączając ją z matką — rychło wy skończycie te wasze pieszczoty?

— Panie — spytała młoda dziewica — czy Konwencya postanowiła, że dzieciom nie wolno całować swej matki?

— Nie, ale naznaczyła karę na zdrajców byłych, i dlatego to przyszliśmy tu badać was. No, Antonino, odpowiadaj.

Ta, którą tak niedelikatnie zagadnięto, nie raczyła nawet spojrzeć na pytającego. Owszem odwróciła głowę, a lekki rumieniec przebiegł po wybladłem z boleści i pooranem łzami jej licu.

— Niepodobna — mówił dalej ten człowiek — abyś nie wiedziała o zamachu dzisiejszej nocy. Kto jego sprawcą?

Uwięziona znowu milczała.

— Odpowiadaj, Antonino — rzekł wtedy Santerre, zbliżywszy się, nie zważając, jak młoda kobieta drżała z przerażenia na widok człowieka, który dnia 21 stycznia rano, przybył do Temple dla zabrania z sobą króla Ludwika XVI. i zaprowadzenia go na rusztowanie. — Odpowiadaj. Tej nocy zmówiono się na Rzeczpospolitą i chciano uwolnić cię z więzienia, na które skazaną zostałaś z woli narodu, do chwili w której odbierzesz karę za twe zbrodnie. Powiedz, czyś wiedziała o tym spisku?

Marya zadrżała na dźwięk tego głosu, którego zdawała się unikać, wciskając się o ile mogła w swe krzesło. Lecz i na to pytanie nie odpowiedziała podobnież jak i na pierwsze.

— Nie chcesz więc odpowiadać? — wrzasnął Santerre gwałtownie tupnąwszy nogą.

Uwięziona wzięła ze stołu trzecią książkę.

Santerre odwrócił się, zwierzęca potęga tego człowieka, który rozkazywał ośmdziesięciu tysiącom ludu, który jednego tylko skinienia potrzebował do zagłuszenia głosu konającego Ludwika XVI., kruszyła się o godność nieszczęsnej niewolnicy, której również mógł ściąć głowę, lecz której ugiąć nie był zdolny.

— A ty, Elżbieto! — rzekł do drugiej osoby, która na chwilę zaniechawszy roboty, złożyła ręce i błagała, nie ludzi tam obecnych, lecz Boga; — czy odpowiesz mi?

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— A! wiesz — zawołał biorąc go pod rękę Wolski, jakby zapomniawszy się — zdaje mi się, żem się po długim śnie ciężkim przebudził znowu — jesteśmy razem, mówimy tym językiem, który mi matkę przypomina.

Wspomnienie to zamknęło mu na chwilę usta — spuścił głowę.

— Czy masz co do czynienia w Berlinie? — przerwał garbus.

— Papiery do wyjęcia z kancelaryi uniwersytetu — rzekł Wolski — nareszcie i ja spodziewam się zdać egzamin i nowe rozpocząć życie.

Głos zniżył — O! nie będę ćmił przed tobą, przebyliśmy ciężką próbę... Rok... na przemiany w dostatku i o głodzie. Było trochę pieniędzy po matce, chciałem Helmie osłodzić to gorzkie życie — nie na długo starczyło, potem długi...

— Ależ rodzina? nie udawaliście się do niej?

— Ja, nie — Helma pisała do matki i brata. Zmieszał się nieco.

— Jakto! bez skutku?

— Tak — bez skutku... ale ja nie mam się na to skarzyć prawa... ona więcej boleje... Matka wspomogła ją w sekrecie małym datkiem, ale tam pieniądze są w ręku ojca, ona nie ma nic. Hänschen sam wiele potrzebuje. — Westchnął znowu. — Ciężkie było życie, choroba żony, przyjście na świat dziecięcia... ja także jakoś byłem nie zdrów. Nauka z takiem gospodarstwem ciężko się godzi! Jakże się tu uczyć, gdy biedna żona jęczy a dziecię płacze, a mleka nie ma za co kupić a o obiad na kredyt prosić trzeba i grubiańskie cierpieć słowa...

— Zawszem sobie wyobrażał, że Niemcy dobre serce mają, ale oni nie mają serca... wyjąwszy Helmę...

— Helma jest aniołem.. Nigdy skargi z ust jej nie usłyszałem, uśmiechała mi się spokojnie. Kocham ją do szaleństwa.

Mówił to gorączkowo, tonem osobliwszym, rzucając obłąkanemi oczyma do koła.

Wojtuś słuchał z zajęciem nadzwyczajnem w milczeniu, nie przerywając mu i usiłując odgadnąć pod tem malowaniem sztucznem kryjącą się prawdę. — Nie widać było i nie czuć w Wolskim tego szczęścia, którem się chlubił.

— Dokądże myślicie się udać potem? — zapytał po chwili — zapewne tam, gdzie ty masz znajomych i stosunki — w Poznańskie?

— A! nie — odpowiedział Wolski. Helma tyle poświęciła dla mnie, że i ja przecież coś dla niej muszę uczynić. Onaby nie mogła wyżyć wśród obcych w naszym kraju. Znasz nasze towarzystwo.. jakby ją tam przyjęto? Nie chciałbym, ażeby cierpiała osamotniona i lekceważona. — Poświęcę się raczej sam i szukać będę kąta w Niemczech.

— Jest to bardzo pięknem z twej strony — odezwał się Wojtuś — ale i ona i tybyś to zrozumieć powinien, że masz obowiązki względem własnego kraju. Jest nas mało, dezertować nam nie wolno — nawet dla tych szlachetnych pobudek. Wśród Niemców przy żonie mimowolnie będziesz musiał zapomnieć o sobie i narodowości, której jesteś jednym ze spadkobierców.

— Wszystko to bardzo piękne — odezwał się Wolski — ale widzisz położenie moje — nasze — mogę postąpić inaczej. Ciężko mi, lecz muszę spełnić obowiązek. Ta kobieta wyrzekła się dla mnie dostatków, rodziny, społeczeństwa.

— Przytem mam trochę nadziei na jej dalekich krewnych . powinniby nam pomódz

— Zdaje mi się, że się łudzisz — odparł Wojtuś — zblizka dosyć przypatrywałem się im — nie są skorzy do pomocy.

— Ten węzeł chrześciański, który naszą wiązał społeczność w jedną całość jako braci w Chrystusie, tu nie istnieje. Nowa spółka zapisała na swej chorągwi: „Help yourself" — pomagaj sam sobie, bo ci nikt nie pomoże. Społeczeństwo powróciło do pierwotnego stanu walki o byt.. każdy na swoją rękę. Kraj nasiedlony Niemcami jest przeludniony, więcej kandydatów do chleba niż pracy i bochenków. U nas znalazłbyś litościwe serca bratnie choć rzadkie.. tam...

Wolski zamyślony patrzał w ziemię, nie odpowiadał nic — a po chwili rzekł jakby chcąc przerwać rozmowy polskie: — Jakoś to będzie!

Właśnie w tej przerwie rozmowy spotkali Ryszarda, który się do nich przyłączył i ochoczo powitał dawnego towarzysza, dalej nieco nawinął się jeszcze jeden z kolegów. Nie dotykając więc drażliwych przedmiotów, mówiąc więc o rzeczach dawnych, po młodzieńczemu żartując, poszli zaproszeni przez hrabiego na podwieczorek do restauracyi. Znaleźli ją do zbytku przepełnioną, osób było mnóstwo i w przytykującym do niej ogródku i w skwarnych pokoikach i pod werandą. Przy kuflach piwa hałaśliwe grono Turyngów wykrzykiwało po za nimi:

— Colossal!

— Famos! — Nobel!

Nie oglądając się po samym głosie poznał Wolski Hänschen, który przewodził u drugiego stolika. Zobaczywszy szwagra, przyłożył lornetkę do oka. — Zmarszczył czoło, popatrzył nań długo, zdawał się wahać nieco, ale ani go przyszedł przywitać ani okazał chęć zbliżenia się ku niemu. Poszeptał coś z towarzyszami i wkrótce się wyniósł do drugiej knajpy, unikając spotkania. Wolski też nie miał ochoty przypominań się teraz ocalonemu.

Wszystkich towarzyszów uderzyła smutna i wynędzniała postawa Wolskiego; rozweselić go nawet było trudno, a wspomnienia lepszych czasów zdawały się na nim czynić bolesne wrażenie.

Ryszard odciągnął na stronę garbusa.

— Wiesz co — rzekł — jak na szczęśliwego człowieka ten Wolski wygląda bardzo biednie... Czyś ty z nim mówił?

— Trochę!

— Co mu jest? Wszak go rodzice żony opuścili?

— Zupełnie.

— Może jest w wielkiej potrzebie...

— Ja sądzę, żona, dziecię...

— A! a! już! — zawołał Ryszard — tybyś powinien jako bliżej znajomy z nim zmusić go do przyjęcia — pożyczki, żeby głodem nie marli.

— Ale kochany hrabio — cóż ja mu pożyczę, sam nic nie mając?

— A to ja dam! ja dam, ale nie powinien wiedzieć, że to odemnie. Mów mu, że to od ciebie. Toby mu nadto ciężyło.

Poczciwy Ryszard oglądając się wsunął kilka frydrychdorów w rękę garbusa i zaczął mówić o czem innem, bardzo zręcznie pokrywając cel swej rozmowy.

Wieczorem już późnym wrócili do miasta. U brandenburgskich wrót rozeszli się towarzysze i garbus sam z Wolskim zostawszy zmusił go zręcznie do przyjęcia małej pomocy, którą tamten ze łzami i rozrzewnieniem długo wzbraniał się wziąć a nareszcie nie kryjąc, jak mu to przychodziło w porę — uradowany zgodził się zatrzymać.

Nazajutrz przybył jeszcze raz podziękować i pożegnać się Wolski.

— Mniej więcej — rzekł garbus zatrzymując jego rękę — gdzie cię szukać — co myślisz, dokąd się chcesz udać?

— Szczerze ci mówię — nie wiem — odparł Wolski. — Wilhelmina ma rodzinę matki w Saksonii, być może, iż się tam udamy, być może gdzieindziej, pierwsze najbiedniejsze miejsce, jakie mi się trafi, przyjąć jestem zmuszony — jeść potrzeba.. Ja przymarłbym i głodem — ale oni... ale ona...

Uśmiechnął się smutnie.

— Cóż? walka o byt! los to zwykły ludzi, którzy z rodziną i społeczeństwem zerwać byli zmuszeni. Idą sami i przebijać się muszą przez tłumy. To los człowieka.

— Niepokój mnie dręczy, zostawiłem Helmę samą, z jedną sługą, ja zwykle zastępowałem drugą.

— Ona wychodzić nie może. Pieniędzy było mało, kredyt zachwiany. Muszę spieszyć do domu.

Łzami zaszły oczy Wolskiemu, gdy się żegnał. Wojtuś udawał wesołego, ale się wściekał na radzcę komercyjnego i jego rodzinę — ścisnęli sobie dłonie.

— Do widzenia!

Gdzie i kiedy, żaden się z nich nie domyślał.

Wojtuś wydobywszy się ze stolicy nad Szprewą, której cierpieć nie mógł, choć miał czas się z nią oswoić i do niej przywyknąć — wrócił natychmiast do Księstwa... Nie żądając od razu wiele, osiedlił się w Poznaniu czekając, aby mógł sobie zarobić na wziętość. Czuł się tu potrzebnym. Sił nigdy nie było zanadto do walki, a nowy zwrot systemu i postępowania zmieniając jej charakter, czyniąc ją zażartszą, wymagał nowych zapaśników.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

Podniesienie wytwórczości kobiecej.

Organizacya nauki robót kobiecych nie tylko wnika w wychowanie kobiety, ale posiada znaczenie daleko większe, wywrzeć może poważny wpływ na podniesienie wytwórczości rodzimej, otworzyć kobietom szerokie a wdzięczne pole pracy zarobkowej, a temsamem ma doniosłe znaczenie społeczne.

Dziś kobiety cisną się z konieczności bardzo licznie do zajęć biurowych, często bez względu na to, czy mają do tego wrodzone zdolności, zamiłowanie lub nie. Niejedna może zajmując nawet stosunkowo nie złą posadę biurową wolałaby zpewnością pracować samodzielnie niezależnie, zajmując się robotami kobiecemi u siebie w domu.

Lecz jak się do tego zabrać. U nas nie ma możności wyuczenia się tego rodzaju pracy. Szkoła dzisiejsza nam tego nie da, zajmując się tylko ogólnem kształceniem, a często paczeniem umysłów młodzieży jej pieczy powierzonych. Nie może się więc młodzież żeńska specyalizować w żadnym kierunku, a zresztą i praca robót kobiecych musi mieć swój zakres i czas odpowiednio wymierzony, pozatem zaś, aby módz doprowadzić do samodzielnego wykonywania jakiejkolwiekbądź pracy wytwórczej, trzeba dojrzalszego umysłu i rozwoju fizycznego, niż ten, jaki posiadają dziewczęta kończące naukę szkolną w 14 roku.

Jeżeli więc chcemy zatrudnić tysiące kobiet robotami ręcznemi *zarobkowo,* to w takim razie nauka robót przestaje być pomocniczym środkiem wychowawczym, a staje się właściwie nauką rzemiosła i należy ją zorganizować tak, jak naukę innych fachowych zajęć wytwórczych. Potrzebujemy więc koniecznie nietylko fachowych sił nauczycielskich, ale i należycie urządzonych specyalnych zakładów, w którychby udzielano nauki robót kobiecych w celach zarobkowych starszym dziewczętom.

Dzięki tandecie niemieckiej i żydowskiej, w którą się z jakimś dziwnem zamiłowaniem zaopatruje ludność wiejska, zanikają powoli a wytrwale tradycyjne ubiory ludowe swojskie. Nie byłoby więc od rzeczy, gdyby celowo pielęgnowano naukę robót kobiecych po miastach i wsiach.

Niestety dużo jeszcze wody upłynie, zanim doczekamy się tak poważnego traktowania sprawy, takich wspaniałych zakładów i szkół zawodowych, jakie posiadają Niemcy w Wyrtembergii, a które się obficie społeczeństwu wypłacają, dając tysiącom kobiet byt niezależny i przyzwoity zarobek.

Otóż, aby nie czekać z założonemi rękoma, aż owe doskonałe zakłady i u nas otwarte i zaprowadzone zostaną, wartoby zaprowadzić coś w rodzaju „wędrownych kursów robót kobiecych“. Urządzenie takich kursów nie przedstawiało-by zbyt wielkich trudności, ani też tak wielkich kosztów, jakby się to pozornie zdawać mogło.

Z wędrownych kursów zawodowych, urządzonych po miastach i wsiach większych, mogłyby korzystać te liczne nieszczęśliwe kobiety, które z konieczności zmuszone są żyć z igły, a nieraz i dzieci wychowywać, chociaż nie wiele umieją, a tylko wrodzonym sprytem radzą sobie w tych zatrudnieniach, jak mogą. Są one niestety zbyt często za mało przysposobione do udzielania nawet elementarnej nauki szycia. Kilkumiesięczny kurs metodyczny podniósłby praktyczną wartość ich pracy jako nauczycielek robót na wsi, a obok tego ułatwił im zarobkowanie przez wprowadzenie jakiegoś rodzaju robót, jako przemysłu domowego w danej miejscowości przez tamtejsze kobiety.

Mogłyby to być kursa kroju i szycia bielizny, bluzek, fartuszków, ubrań dziecięcych, albo też specyalne kursa dla wyrobu odzieży ludowej, wprowadzenie do tej gałęzi zarobkowej zastosowania maszyn, tak, ażeby nasze robotnice mogły podjąć konkurencyjną walkę z masową tandetą pruską. Do tego działu należy także wprowadzenie u nas tego, co się nazywa w potocznej mowie „fabrykacyą“ rozmaitych drobiazgów, służących do ubrania jak: maszynowe roboty pończoszkarskie, wyroby szmuklerskie, parasolnictwo, wyrób krawatek męskich i damskich, gorsetów, rękawiczek, ozdób z piór ptasich, co stanowi przy teraźniejszej modzie olbrzymi dział wytwórczy itd., które to już działy w wysokim stopniu są w Galicyi zaprowadzone. Te wyroby przychodzą do nas masami z innych krajów. W budżecie każdej rodziny wydatek roczny na te drobiazgi stanowi pokaźną sumkę, a z całego kraju wychodzą za to corocznie miliony. Nazywamy je wyrobami fabrycznymi. Tymczasem w przeważnej części są to wyroby przemysłu domowego kobiet. Przedsiębiorca dostarcza kobietom w całej osadzie, nieraz w rozległych okolicach wzorów, materyału, potrzebnych im maszyn i przyborów, utrzymuje

instruktorów, a jego „fabryka“ jest właściwie tylko kantorem, w którym jedni urzędnicy odbierają od pracujących w domu robotnic gotową robotę, a drudzy ekspedyują ją w świat jako towar.

Kraj, który ma do odziania rocznie kilka milionów ludzi, jeżeli przeciętnie na jednego mieszkańca da zarobić przez rok miejscowym robotnicom parę marek, to już zaoszczędził sobie kilkadziesiąt milionów, tj. tych kilkadziesiąt milionów nie wyjdzie bezpowrotnie za granicę, ale zostaną one w kraju i dla kraju, dla tysięcy żon i córek miejscowej ludności.

Nie każde z wyżej wymienionych zajęć da się załatwić kilkutygodniowym lub kilkumiesięcznym kursem wędrownym. Niejedne z nich będą wymagały urządzenia specyalnych szkół zawodowych. Obyśmy na razie mogli choćby tylko kursy wędrowne urządzać, a ręczę, że nie tylko spryt i zgrabność będą korzyścią osiągniętą z nich, ale także, a raczej przedewszystkiem korzyści moralne, jakie przyniesie wyrobienie się pracowitości u tylu kobiet naszych, które od czasu zaprowadzenia lichej tandety fabrycznej zapomniały zupełnie o kądzieli, a nawet nie potrafią dobrze władać igłą.

Fałszywe włosy.

Na targach tyrolskich, które dostarczają największej ilości fałszywych włosów, produkt ten podskoczył niebywale w cenie. Spowodowało to olbrzymie zapotrzebowanie fałszywych włosów dla modnych obecnie fryzur damskich Pewien Francuz, który na wakacyach zabłądził na tyrolski rynek handlu włosami, opowiada pięknym Paryżankom o swoich wrażeniach:

„Ze zdumieniem zobaczyłem — pisze on — niewyczerpaną pod względem barw kolekcyę prób włosów. Zarówno barwy, jak i ceny, wykazują tutaj szalone różnice. I tak, ceny wahają się pomiędzy trzema frankami a 19,000 franków za kilo.“

Jakkolwiek włosy produkują obecnie wszystkie kraje, to jednak handel tym towarem staje się coraz bardziej ograniczonym. Przed wydaleniem zakonów francuskich była Francya wybitnym krajem wywozowym tego towaru, gdyż zakonnice przed złożeniem ślubów zakonnych musiały poświęcić swoje ozdoby głowy, które potem klasztory sprzedawały za grube nieraz sumy tyrolskim handlarzom włosów. Dzisiaj Francya, z wyjątkiem kilku okolic Sabaudyi i Auvergne, nie dostarcza włosów prawie wcale.

To samo odnosi się do Chin, z których wywóz był bardzo wielki, dopóki władze sanitarne nie zabroniły przywozu włosów chińskich, z obawy zawleczenia dżumy. Sprowadzanie włosów natrafia na coraz większe trudności i powoduje, z powodu ogromnego zapotrzebowania, podwyżkę cen, to tem więcej, iż wzrastająca skłonność Tyrolek do pozbywania się za kilka guldenów swych włosów skłoniła władze austryackie do zakazania kupna i sprzedaży krajowych włosów pod karą dwu miesięcy więzienia.

Trudno, co prawda, o takich rzeczoznawców, którzyby umieli określić dokładnie pochodzenie danego włosa, w każdym razie tyrolski handel włosami został, bądź co bądź, ograniczony.

Poza tem włosy fabrykowane sztucznie coraz pewniej wchodzą na rynki tego handlu. Są bowiem tańsze.

Es.

Od Redakcyi.

— **Do Dobrzechowa.** Za przesłane „Przepisy dobrych Gospodyń“ serdecznie dziękujemy. Ogłosimy je w przyszłym numerze.

Dom i kuchnia.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Zupa pomidorowa z ryżem, polędwica z garniturem, szarlotka z jabłek.

Poniedziałek. Barszcz z kiełbasą, zając z buraczkami, suflet malinowy.

Wtorek. Rosół z makaronem, sztuka mięsa w chrzanowym sosie, kalafiory z masłem, ptysie z kremem.

Środa. Zupa grzybowa z grzankami, pierogi z farszem grzybowym z kapustą, herbata z biszkopcikami.

Czwartek. Zupa ogórkowa, pieczeń wołowa z sałatą, naleśniki z konfiturą.

Piątek. Zupa z ryb czysta, sandacz smażony z ogóreczkami, tort orzechowy z śmietaną.

Sobota. Zupa jarzynowa, makaron z pomidorowym sosem, krem pomarańczowy

:: HUMORYSTYKA ::

Bolesne odkrycie.

Dentysta (wyrwawszy ząb, do pacyenta): Co pan tak wrzeszczy? przecież pana nie bolało?

Pacyent: Nie bolało, ale właśnie przeczytałem pańską taryfę. Pan żąda 2 korony za wyrwanie!

Zręczny komplemencista.

Dama w rękawiczkach do młodzieńca, usiłującego pocałować podaną sobie rękę.

— Ależ, niech pan nie całuje rękawiczki.

— O, proszę pani, cóż to szkodzi... bardzo często rękawiczka bywa czyściejszą niż ręka.

Matczyne serce.

Doktor: Muszę naprzód zbadać, jak dziecku puls uderza.

Matka: Czy to tylko syna nie będzie bolało?

Wyrzut.

— Coś taki smutny?

— Miałem wczoraj przykry wyrzut.

— Sumienia?

— Nie. Oświadczyłem się o bogatą pannę Zofię i jej ojciec wyrzucił mnie za drzwi.

Wymagalski.

— Droga Stefciu! tylko jednego całusa...

— Cóż z pana za Wymagalski?! — Więcej nic?

Ładne porządki.

Jegomość nieco „wstawiony“ do stróża nocnego.

— Przyjacielu, powiedzcie mi, gdzie jest biuro adresowe?

— W ratuszu, ale teraz zamknięte.

— Zamknięte? No, to ładne panują u nas porządki! Człowiek w rodzonem swojem mieście, w razie nagłej potrzeby, nie może się dowiedzieć, gdzie mieszka...

Gość (płacąc w hotelu zbyt „przesolony“ rachunek): Przyjacielu! czy to przypadkiem tutaj nie jest ów hotel, w którym nocował Siemiradzki, nim namalował „W jaskini piratów“?

W biurze starosty.

— Jak pan śmiesz taki nie ogolony zjawiać się tutaj przedemną?

— Przepraszam najmocniej, ale ja dziś rano się goliłem, tylko ponieważ pan starosta kazał mi na posłuchanie czekać kilka godzin, więc mi przez ten czas broda urosła.

U nauczyciela muzyki.

— Przyprowadziłem panu mojego syna, którego postanowiłem wykierować na muzyka.

— Czy posiada talent?

— Właściwie, to ja nie wiem..

— Więc cóż pana skłoniło do takiego postanowienia

— Widzi pan... trafiło mi się nabyć tanio na licytacyi skrzypce, więc nie chcę, aby się zmarnowały.

Nieporozumienie.

Lekarz (podczas udzielania bezpłatnej porady): A apetyt macie?

Żebrak: Jakby ta pon konsulorz mioł co pod ręką, tobym skłapnął...

Dobra krew.

— Wiesz mężu, pan Adolf oświadczył się o rękę naszej Lucynki.

— Nie bardzo mnie ta wiadomość ucieszyła.

— Co ty masz przeciwko panu Adolfowi? Człowiek przystojny, choć niezamożny, dobra krew.

— Eh, żeby z tej jego krwi można było chociaż talerz czerniny przyrządzić

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Teofil Cholewicz w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.“. Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.